

# Syberyjskim szlakiem Dargiewiczów. Część I.



Krzyż w śniegu  
1902. Olej na płótnie. 104 x 128 cm.  
Własność prywatna.

## **Romuald Mieczkowski**

Widziałem w dzieciństwie takie zdjęcie: opatulona w łachmany para starszych ludzi stoi gdzieś w lesie. Rodzice mówili, że zdjęcie przysłała rodzina z Syberii. Dalsza. Prababka kobiety,

będącej na fotografii, była siostrą mojej prababki.

Na stole – dziesiątki zdjęć z Syberii. Przeglądamy je z Tadeuszem u jego w domu – w Olsztynie. To cud, iż z niehumanitarnej ziemi zachowały się one. W jaki sposób, to oddzielna historia, o której później. Wykonał je Adolf Dargiewicz. Zaczyna płynąć rozmowa, a wraz z nią – obraz tragedii, jak też szczęścia, bardzo wymiernego – że się po prostu zostało żywym. A tak przecież trudno było żyć w tamtych czasach rodzicom deportowanych, bo młodzi, jak to młodzi. Dla nich inaczej mierzyl się czas, nawet w tych poniżających godność ludzką warunkach.

## **Na Wileńszczyźnie**

Z Tadeuszem wyjaśniamy stopień naszego pokrewieństwa. Jego ojciec miał na imię Franciszek, matka – Wiktoria. Przed wojną gospodarowali na 4 hektarach w Porubanku pod Wilnem. Kiedy rozbudowywano lotnisko, władze polskie wykupiły ziemię, płacąc zupełnie nieźle. Tyle, że za otrzymane pieniądze Dargiewiczowie kupili... 44 hektary w Baraszkach, niedaleko Rudamina. Prawda, najwięcej było lasu, w tym ziemi ornej niewiele, ale opłacało się – rodzina liczyła ośmioro dzieci. W domu nigdy nie przelewało się, ale i głodu nie było. Wszyscy dużo pracowali. Zaplanowali sobie wykarczować część lasu. Prace utrudniał na obrzeżach obfity w kamienie grunt. Był to wielki wysiłek. Praca odbywała się bez jakiegś techniki – jako narzędzie służyła specjalna żelazna brona,

ciągnięta przez konia – reszty miały dopełnić własne ręce, przede wszystkim starszego rodzeństwa, braci Tadeusza – Bronisława, Mieczysława, Wilhelma, Adolfa, Franciszka- juniora.

Wykarczowano osiem hektarów. Drzewa na opał było bez ograniczeń, a i pięknego budulca też. Wzniesiono przestronny dom wraz z zabudowaniami gospodarczymi, wykopano studnię i staw, w którym miały być ryby – karasie i karpie – na święta, do posmakowania. Wielkim wzięciem cieszyła się łaźnia. Ze wszystkich stron, żeby w niej „poparzyć się”, ściągali sąsiedzi, przyjeżdżali z Wilna znajomi.

Pracowali ciężko, ale po pracy ileż było radości! Miejscowość piękna, słowiki śpiewały, a i do Wilna – ręką podać. I perspektywa zrobienia wzorowego gospodarstwa, i radość z tak licznej rodziny, prawdziwego klanu na własnej ziemi.

Idylla trwała niedługo – do wybuchu wojny. Bronisław i Adolf zostali ranni w 1939. Wojna, jak to wojna, trudne były czasy. Mieszkali na uboczu, więc byli pod szczególną obserwacją. Jednego razu, kiedy przybyli dwaj policjanci litewscy i ubliżali rodzicom, bracia mający doświadczenia wojenne ich... rozbroili. Policjanci zaczęli przeżywać i płakać, że Niemcy ich rozstrzelają, zaklinali na litość i własne rodziny – żeby tylko oddać broń, a już więcej nie będą nachodzić w taki sposób. Kiedy broń im oddano, policjant o nazwisku Mordas strzelił i Bronisława położył na

miejscu, drugiemu bratu, który przyczynił się do rozbrojenia, udało się zbiec do lasu...

Nie mniejsza gehenna była w czasach sowieckich. Dargiewiczowie dla nowej władzy byli klasycznymi wrogami, których nie można było nie rozkułaczyć. Ale nie od razu. Stopniowo zabierano wszystko, a co zostawiano, okładano niemiłosiernymi, ponad możliwości ludzkie podatkami. Potem zapadła decyzja wywózki, wszystkich razem. Robili więc wszystko, żeby nie przebywać wspólnie. Mężczyźni ukrywali się, nocowali w stodołach i różnych kryjówkach.

Kiedy zabrano do nowo utworzonego miejscowego kołchozu „Aurora” ostatnią krowę, zaś ta wróciła po paru dniach, to jeden z braci – Mieczysław – nie potrafił ją znowu oddać, wtedy „dla postrachu” strzelał w jego stronę niejaki Kaczanowski, z politruków, który prawdopodobnie w okresie późniejszym wyjechał do Polski. Mieczysław dostał tak wielkiego szoku, z którego nie uwolnił się już do końca życia. Spędził je w szpitalu dla umysłowo chorych w Nowej Wilejce, samotnie zmarł. A już miał odbyć się jego ślub z młodą dziewczyną po sąsiedzku, wyszły nawet zapowiedzi w kościele rudomińskim...



Ferdynand Ruszczyc Most zimą.

Mieli też trudności enkawudziści z Adolfem. Zimą nocował w stodole, był przykrywany deskami w stogu siana, dokąd Tadeusz, jako najmłodszy, nosił jedzenie. Pracował w polu, przebrany... za kobietę; akurat kopał ziemniaki, kiedy dwóch mężczyzn na koniach zwróciło się do niego z pytaniem, gdzie może być Adolf. Wskazał byle jaki kierunek. Żeby mieć zmieniony głos, trzymał w buzi chyba mały ziemniak. Odjeżdżając jeden z enkawudzistów splunął, mówiąc, że w życiu nie widział tak niekrasiwój zenszczyny<sup>1</sup>. Kiedy się połapali, Adolf ukrył się.

- Jeden raz w życiu musiałem wyrzec się ojca - opowiada mój rozmówca. - Przyjechali z zamiarem nas wszystkich zgarnąć. Ktoś widocznie doniósł, że ma wrócić z miasta, dokąd pojechał do młyna. Jako podrostka wsadzono mnie do samochodu, by wskazać ojca. Serce mi mocniej zabiło, kiedy zobaczyłem, jak na Lipówce furmanką jedzie ojciec, ale udałem, że nie znam tego człowieka...

Tak nie mogło długo trwać. Na początku lat pięćdziesiątych wywożono w sposób planowy - całymi rodzinami, o które przecież tak troszczyła się władza sowiecka, a jeszcze bardziej o to, żeby nie było buntów, żeby rusyfikować „wrogów” nowego ustroju *pogołowno*<sup>2</sup> i „wychowywać” ich przez pracę.

Kiedy 2 września 1951 roku sowieci dość mieli zabawy w kotka i myszkę i przyjechali po Dargiewiczów, głowa rodziny schował się pod łóżko. Na Syberię dowieźli go później, po wielu perypetiach „złączono” go z rodziną.

Na spakowanie dano pół godziny. Pośpiesznie zakłuto parsiuczka<sup>3</sup>, z sobą zabrali cztery worki kartofli. Z takim bagażem trafili na stację kolejową w Landwarowie. Stąd zaczynała się droga, która na zawsze oddaliła Dargiewiczów od ziem ojczystych. Wywózki uniknęła Anastazja, tuż przed nią wyszła za mąż, nie zabrano Mieczysława, jako nieobliczalnego w swej chorobie, a taki nie był potrzebny ani na Syberii, ani groźny

tu na miejscu.

Trudno dziś powracać do tamtych dni. Tadeusz Dargiewicz milczy przez pewien czas. Potem kontynuuje opowieść. O zgiełku i rozpacz na stacji Landwarowo, gdzie do bydłych wagonów ładowano ludzi wraz z pośpiesznie zabranym dobytkiem, który był w zasięgu ręki. Zapamiętała się mu taka scena: młoda kobieta wsadza dziecko do worka i przerzuca go przez kolczaste druty...

- I oto jesteśmy w drodze - opowiada. - Z zakratowanego okna wagonu z niepokojem obserwujemy teren. Po dwóch dobach jazdy zobaczyłem owies utkwiony do połowy w śniegu, a nad nim chmary wróbli, które wydziobywały małe ziarenka. Ściśnięci byliśmy w tym wagonie. Miał on numer 47, zaś wszystkiego wagonów było 56. Ciągnęły je dwie lokomotywy. Kiedy zagłębialiśmy się dalej na Wschód, robiło się chłodno. Dano więc nam piecyk, potocznie zwany burżujką. Najgorszy był moment załatwiania własnych potrzeb. Przez dziurę w podłodze wagonu. Parawan z koca służył za osłonę. Potem zaczęto nas wyprowadzać na peronach, w eskorcie żołnierzy. Ludzie byli wykończeni. Choć na stacjach panował chaos, mało kto myślał o ucieczce. W większości jechano rodzinami, więc trzymano się razem. Na stacjach dawano kapiatok - wrzątek. Musiał go przynieść ktoś z wagonu. W naszym wagonie zajmowała się tym kobieta, która dziecko zostawiła za drutem. Jednego razu nie

wróciła. Ciekawe – zastanawia się Tadeusz, – jakie były jej losy, co stało się z dzieckiem, czy się spotkali?

Podróż trwała trzy tygodnie, aż wszystkich pod koniec września 1951 roku wysadzono w Tomsku. Nie był to kres przymusowej wędrówki. Nad stromym brzegiem Obi utworzono ogromny obóz spieczieresienców<sup>4</sup>, którzy mieli „trochę szczęścia”, bo był to łagodniejszy wymiar kary – ludzi tych mogła jeszcze „wychować” mordercza praca, wyrzeczenie się swej narodowości i deklaracja, że „dobrowolnie” chcą tu pozostać.

W miarę przybliżania się do tego miasta, zasieków z kolczastego drutu przybywało. Jak sięgnąć wzrokiem, rozpościerały się łągry. Było tu już chłodno, ludzie brali drzewo z brzegu rzeki i mimo zakazów, palili ogniska. Czekano na dalszy etap zesłania – w głąb tajgi, już drogą wodną.

– Strasznie wyglądało to czekanie. Nękały nas najgorsze przeczucia, tyle przecież wiedzieliśmy o okrucieństwach Sowietów – wspomina mój krewny. – Siarczyste przekleństwa po rusku. Czekaliśmy jeszcze jedna podróż, która trwała tydzień, z przesiadką z barży<sup>5</sup> na mały statek, który od Obi popłynął w górę rzeki Czaji. Barża ciągnięta była przez statek. Ludzie, schorowani i zdeterminowani, zajęli miejsce w jej dole, w wielkim brudzie i ciasnocie, jak śledzie w beczce. Matka przez cały czas płakała, w pewnym momencie nie wytrzymała i

zwróciła się do żołnierza z wycelowanym do ludzi karabinem ze słowami, żeby zastrzelił ją. Żołnierz na to uśmiechnął się i powiedział: „Mat’, u nas pulia stoit czetyre kapiejki, a ty i tak zdzieś padochniesz, darom.”<sup>6</sup>

Tadeusz znowu robi przerwę. Głos mu drży. A potem, żeby odejść od smutnych wspomnień, opowiada długo, ze szczegółami o statku. Jako małego chłopca interesowała go technika, więc zapamiętał, że statek, którym płynęli Czają, był napędzany drewnem, a była to machina, jakie czasem widzimy na starych filmach – ze śrubą przez środek statku, z urządzeniami w kształcie koła z łopatkami z desek, jakie spotykało się w wodnych młynach. Takie koła były po obu stronach burty. A wokół las. Taki sam. W nieskończoność.

Kiedy dotarli na miejsce, trzeba było przejść kładką, zawieszoną wysoko nad wodami rzeki. Tadeusz pośliznął się i dosłownie w ostatniej chwili za kark go złapał żołnierz. W dole została brunatna toń zimnej wody, która czasami śni się mu w snach syberyjskich. Ale podróż nadal trwała. Dalej była rzeka Niursa. Nad jej brzegami mieli wydatnie przyczynić się do przerzedzenia tajgi w miejscowym LZP – Niurskim Lesozagotowitielnym punkcie<sup>7</sup>. Tu poznali nową władzę – kierownikiem участка<sup>8</sup> był niejaki Błochin, komentantem od NKWD – Korowin, jego zastępcą – Kobielow. Co do imion Tadeusz dziś nie ma pewności, natomiast tych nazwisk pamięć w żaden sposób nie potrafiła ich

wymazać.

- Miejscowi ludzie zapytali żołnierzy, kogo przywieźli - ciągnie opowieść, - a żołnierze na to: „Eto biełyje bandity.” Mój Boże, to my byliśmy bandytami!

Pierwszym ich miejscem posiedlenia<sup>9</sup> była „Wośmaja - Ósma, następnie - Zawodskaja, potem - Lesnaja. Wszędzie to samo, bez prądu, z dala od świata i większych osiedli. I wszędzie tacy sami towarzysze niedoli - Polacy, Ukraińcy, Litwini, Niemcy...

W każdym miejscu, nawet tym najgorszym, po wypłakaniu wielu łez, apatii i bezsilności, przychodzi czas pogodzenia się z losem, czas układania sobie życia w nowych warunkach. Na początku spieczpiresielencom dano baraki, przedzielone sienią na dwie części - męską i żeńską. W każdym rogu było po pięciu. Spano na żelaznych łózkach. Baraki przypominały więzienie, co sprawiało, że nastrój był przygnębiający. Dla zapomnienia się Adolf Dargiewicz namawiał kolegów do śpiewania patriotycznych piosenek polskich, na co krzywo patrzyli nadziratieli<sup>10</sup>, ale nie mogli nic powiedzieć, bo nie rozumieli, o czym jest mowa w tych piosenkach. Powoli strach ustępował, bo i dokąd to jeszcze można było zesłać? Co jeszcze człowiekowi odebrać prócz życia?

Na początku to najgorzej było z podpisaniem bumagi<sup>11</sup>, że się chce w tym miejscu pozostać „dobrowolnie” - na całe życie. Nikt

nie chciał tego czynić. Co tylko nie robiono z opornymi! Wsadzano ich do ziemianki, nie tyle piwnicy, co naprędce kopanego dołu.

- Pamiętam, jak w takim dole siedział mężczyzna w mundurze żołnierza. Wojska Polskiego. Tak ubranego właśnie przywieźli go tutaj - opowiada Tadeusz Dargiewicz. - Nazwisko miał Antonowicz. I musiał biedny podpisać na siebie wyrok. Potem jakby nieco ulżyło, bo zaczęły krążyć plotki, że jakieś zmiany będą. I podpisy, które złożyli ludzie, nie będą cyrografem ostatecznym.



### Krajobraz

1902. Olej na płótnie naklejonym na tekturę. 46 x 45 cm.

Lwowska Galeria Sztuki.

### **Swój dom w tajdze**

Życie w barakach miało swoje pravidła. Rodziny były podzielone,

więc Dargiewiczowie postanowili zbudować sobie dach nad głową. Taka możliwość istniała. Zazwyczaj domy budowano tu bez jedyne go gwoźdźdza, miały one dwa małe okienka, w środku – gliniasty piec i prycze. Poślanie było z wiór, dla odmiany bywał mech. Jeszcze jeden piec w okresie letnim rozpalano przed domem. Nie było studni. Miejscowi Rosjanie mówili, że jej wykopanie jest rzeczą niemożliwą. Wodę więc zimą brano ze śniegu, latem, gdzie się tylko dało, najczęściej spod karczy. Była to brunatna ciecz o specyficznym zapachu i smaku.

W takich domach było niezwykle ciasno, ludzie nie mieli dosłownie nic, panowała niewypowiedziana nędza, wręcz prymitywne bytowanie. Ale nie można było odebrać tej małej namiastki wolności, dzięki której mogli mówić w swych ojczystych językach, do woli modlić się i wypłakać, z dala od cudzych oczu.

Jako-tako układali sobie życie. Najlepiej sobie radzili Niemcy. Ich domki wyglądały schludnie, wzniesione były z dużą pomysłowością. W ogóle to dziwne – zastanawiał się nieraz w trakcie swej opowieści Tadeusz, że człowiek w warunkach tak ogromnego przygnębienia zachowuje tak wielką chęć życia, dąży do zapuszczenia korzeni – na obcej ziemi, z uporczywą myślą, że na krótko.

Po pół roku dowieziono ojca, choć żadna to pociecha, że nie

udało się mu ukryć. I wtedy przystąpiono do budowy domku. Ojciec ociosywał bierwiona, które przekładano mchem. Z wybudowaniem tego gniazda na obczyźnie poczuli się różnie. Choć było ciasno, to ciepło w czasie trzaskającej mrozami zimy. Najgorzej było wiosną – w szparach siedziały jakieś syberyjskie świerszczyki, które wydawały bardzo głośne i nieprzyjemne dźwięki, wylaziło też różne robactwo i wszechobecne w tych stronach karaluchy.

## **Sąsiedzi**

- Spośród naszych syberyjskich sąsiadów – wspomina mój krewny – było dużo ludzi spod Lwowa, Stanisławowa, Halicza. Niemal wszyscy znali polski. Niektórzy mówili po ukraińsku, ja też nauczyłem się tego języka. Za wyjątkiem Niemców, byli też inni obok nas ludzie – jak to się potocznie mówi z Kresów. Od nich też wziął swój początek miejscowy cmentarzyk.

Żyło się bardzo zgodnie ze sobą. To Tadeusz podkreśla kilkakrotnie. Prócz ludzi wspomnianych narodowości byli też Rosjanie. Mieli oni jednakże inny status, który pozwalał im zajmować kierownicze stanowiska. Byli to też zesłańcy, nawet ci z ramienia NKWD musieli gdzieś „przeskrobać się”. Miejscowych od razu można było odróżnić. Byli wyrozumiali, podobnie, jak potomkowie wcześniejszych zesłańców. Jeden z nich to nawet zegnał się, interesowała go wiara w Boga. Należał do grona tych,

których przodkowie może trafili tu jeszcze za cara.

Patrząc na *specpieresieleńców*, Rosjanie kiwali milcząc głowami. Znacznie wcześniej od obecnych zesłańców, ich rodzice przekonali się na własnej skórze, co to znaczy być kułakiem. A przecież wielu z nich posiadało gospodarstwa, stadniny koni, zakłady i sklepy. O tym głośno nigdy się nie mówiło, ale wszyscy wiedzieli. Swą gorycz topili w wódce. Jeden z potomków jakiegoś znanego rosyjskiego rodu przedsiębiorców Tadeuszowi powiedział tak:

- Cała nagroda za pracę, to butelka wódki. Jak nic nie można mieć przy tej władzy, to co robić? Z pijanego, to i *spros*<sup>13</sup> mały i nie narazisz się proletariatowi...

Różni byli ludzie spośród miejscowych. Serdeczni i uczciwi, prawdomówni i bardzo skryci. Wśród nich byli i donosiciele.

- Kiedy poszedłem do brata, który pracował w innym *posiołku*<sup>14</sup>, osiem kilometrów od nas, by go odwiedzić i porozmawialiśmy sobie po polsku, ktoś doniósł, że poszedłem buntować - wzdycha Tadeusz, - no, i musiałem oberwać.

Zresztą co się dziwić ludziom? Byli kompletnie zdezorientowani, ciągle wmawiano im, że mają do czynienia z „wrogami ludu”. Informacja docierała tu skąpa i odpowiednio spreparowana. Żeby

ludzie zbytnio nie główkowali, dano im pracę niehumanie ciężką i za marny grosz. Byle tylko utrzymać się przy życiu. Pod warunkiem, że zdrowie nie nawali.



Ferdynand Ruszczyc, Stare jabłonie.

## **Wychować miała praca**

I o tym ciągle przypominano *specpieresielencom*. Ojciec mojego rozmówcy, Franciszek Dargiewicz, tak się szczęśliwie ułożyło, nie pracował ciężko fizycznie. Był zajęty przy koniach, robił uprzęż, co w tamtych stronach mało kto potrafił. Była to rzadka tu umiejętność.

Do podstawowego zajęcia natomiast należał wyrąb lasu. Były

wyznaczone „normy” – i chcesz czy nie, miałeś je wykonać. Trzeba powiedzieć – podkreśla w rozmowie Tadeusz – pracowano szczerze i uczciwie, nawet zbyt uczciwie – po chwili poprawia. Taki sąsiad Dargiewiczów w niedoli Krasowski, to z przepracowania na zawsze pozostał w tajdze, znajdując tam miejsce wiecznego spoczynku.

Krasowscy pochodzili również z Wileńszczyzny. Ich dziadek był w Krasnojarsku. Pisali podania, bo chcieli być razem. I przyjechał – bardzo sympatyczny, wykształcony starszy pan. Przez cały czas kogoś dowozili w ramach „łączenia” rodzin.

Piłowane drzewo ładowano do tzw. motowozów. Taka lokomotywa była napędzana *czurką*, czyli brzozowymi kłocami, które służyły jako paliwo. Oczywiście, większe i potężniejsze motowozy napędzane były ropą. Dowożono też nimi ludzi do pracy. Zimą w środku wagonu instalowano burżijkę.

A praca rzeczywiście była dla wytrwałych. Zmuszano harować na mrozie, nawet przy temperaturze niższej minus 43<sup>0</sup>, choć był jakiś regulamin zabraniający pracy w takich warunkach.

- Jednego razu – opowiada Tadeusz – kierownik lesozagotowitielnego punkta Trikoz zobaczył, że w czasie siarczystego mrozu ludzie obiad jedzą w baraku. Ze złością przewrócił stół, wylewając kipiatok. Żadne perswazje nie

pomogły, poszli pracować. Nic dziwnego, że niektórzy nie wytrzymywali, albo zostali do końca życia kalekami. Dobrze i to, że drzewa nie żałowano – niekiedy przy ogrzewaniu zziębniętych rąk, zapalały się kufajki. A ubranie trzeba było bardzo szanować – na rok przydzielano jedną parę kierzowych butów, kto znosił je szybciej – miał biedę, inne ubrania przydzielano jeszcze rzadziej.

Piły były motorowe. Istniały już stacje elektryczne, uruchamiano dzięki temu pracujące na ropy generatory. Prawda, jak był większy mróz salarka, czyli ropa stawała się gęsta, ale jakoś to pracowało. Każdy z drwali miał 200-300 metrów kabla, żeby się podłączyć. Pracować od takiego zasilania mogło naraz pięć-sześć pił. Przy wyrębie zatrudniano również kobiety. Dla nich była praca „łatwiejsza” – siekierkami oczyszczwały drewno z gałęzi. Ciężko pociły się konie przy wakałuszach – krótkich saniach do wożenia kłoców drewna. Wykorzystywano i traktory, ale w tym kraju wszystkiego brakowało, a mechanizmy ciągle się psuły.

Były, rzecz jasna, i własne piły. Z bardzo cienkim ostrzem, łękowate. Zakładali się leSORUBY<sup>15</sup>, że najgrubsze drzewo taką z pozoru małą piłą zetną w ciągu pięciu minut. I ścinali. Życie ich nauczyło wielkiego mistrzostwa. Piła była ważnym narzędziem w tajdze – był nawet specjalista, który je szykował i naprawiał. Nazywał się piłopraw.

Ścinane kłocce zwożono z tajgi nad brzeg rzeki. Tu układano je

sztabelami<sup>16</sup>. Od wiosny drzewo spławiano w dół do Obi. W tym czasie trochę więcej można było i grosza zarobić – chodziło o to, żeby jak najszybciej kłose zepchnąć do rzeki, bo jeśli drzewo można ścinać przez cały rok, to czas spławu ograniczony był klimatem. Przy pracy w lesie dochodziło często do nieszczęśliwych wypadków, ludzie ginęli, bądź tracili zdrowie i nikt za to nie odpowiadał.

Istniały inne zajęcia. Robiono drewniane części do broni. Inne zawody należały do „elitarnych” i rzadko kto je ze specjeresieleńców wykonywał. Niektórzy, prawda, pracowali przy bydle, szykowali siano na zimę.

Z tym szykowaniem siana to bardzo rzecz dziwna była. Otóż miało się wrażenie, że stogi są bardzo duże, a w zasadzie siana było tam niewiele. Z różnych powodów. Przede wszystkim należało zrobić podłoże, bo grunt był podmokły – ponadto wypadało dużo śniegu, więc tak łatwiej można było je wydostać. Stogi układano więc wysoko – na gałęziach, karczach. Po drugie – wykonując „normy”, starano się ze wszech miar wykiwać naczałstwo.

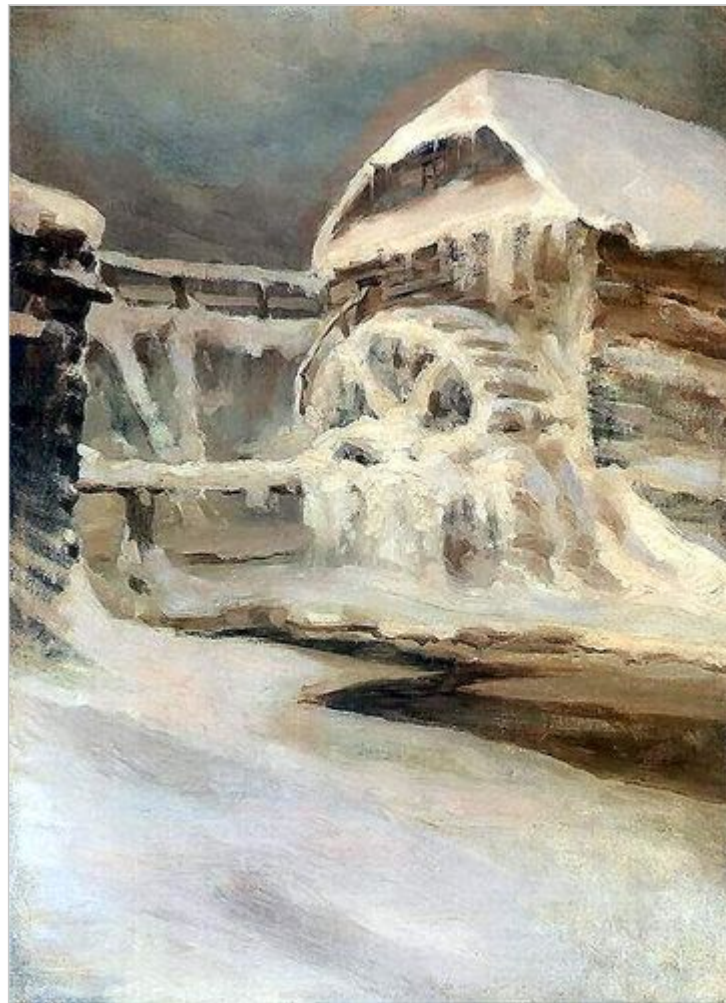
Obok picia wódki takie oszukaństwo, jak też przekupstwo czyli błat, należało do czynności, których w tych warunkach musieliśmy obowiązkowo się nauczyć. Ma się rozumieć, gdyby wszystkie zalecenia, instrukcje i rozkazy przyjmować serio, ofiar

- zupełnie niepotrzebnych - byłoby znacznie więcej. Tu życie ludzkie rzeczywiście nic nie znaczyło - z wielkim trudem, niezwykłym poświęceniem przygotowane drewno, gniło gdzie indziej lub spisywano na straty. Nawet nikt nie nazywał tego niegospodarnością. Drzewa, jak i innych surowców, w tym kraju nie musiało nigdy zabraknąć.

Przy wyrębie lasu gramatności nie potrzeba było. Może trochę więcej można było ją spożytkować, kiedy trafiało się do ekspedycji. Ale najczęściej brano do niej głównie kobiety - żeby nie tracić męskiej siły roboczej. Ekspedycja polegała na tym, że wytyczano szlak, którym drzewo dostarczano nad brzeg rzeki, wytyczano też szlak dla kolei. Na czele takiej wyprawy stał ktoś z władz.

I tak mijały dni na nowej ziemi. Mijały kolejne rocznice zesłania, niezliczone kłoce potężnych cedrów syberyjskich, ściętych rękami Polaków, płynęły w kierunku Obi, a stamtąd dalej, ku sławie „socjalistycznej ojczyzny”.

**Zajęcia specpieresielenca Tadeusza**



Ferdynand Ruszczyc Młyn zimą.

- Jestem najmłodszy z rodziny, w momencie przybycia na Syberię miałem 16 lat. Nie mogli mnie zatrudnić przy wyrębie lasu, bo wtedy byłem pacan<sup>20</sup> - mówi mój krewny - Pierwszym moim solidniejszym zajęciem, jeszcze na etapie, przed wyruszeniem w głąb tajgi, było odwszawianie. Zawód nazywał się weszoprud czasami weszoboj. Obsługiwałem dość skomplikowane ustrojstwo<sup>21</sup> - ludzie oddawali mi swoje ubranie. Ja umieszczałem je w takim metalowym pojemniku, zawieszałem na blaszanych

jego ścianach, zaś u dołu był rozpalony ogień. Pod wpływem temperatury wszy wyłaziły z ubrań. Trzeba było uważać, żeby łachmanów nie spalić. Miałem obserwować termometr – żeby nie dawać więcej żaru niż na 90 stopni. Ileż kilogramów tego świństwa wtedy mogłem zebrać?! – dziwi się Tadeusz.

Potem był płotnikiem, czyli stolarzem, ze specjalnością wyrobu trumien. Fachu tego nauczył go nadwożański Niemiec, których liczne zsyłano w tych latach na nowe posielenia. Razem robili też ramy do okien, drzwi, inną stolarkę.

Przez pewien czas sprawował funkcję obchodczyka<sup>22</sup>, coś w rodzaju torowego. Do obowiązków należało dopatrywanie torów, po których jeździły motowozy. W tych warunkach klimatycznych dość często trzeba było je naprawiać.

Kim się tylko nie pracowało! Pomagał kowalowi, który „wszystko potrafił naprawić”, przyjaźnił się z jego młodszymi od siebie synami, mówiącymi pięknie po polsku. Mianowano go koniuszym, a konie były dzikie, gryzły, kopały... Szczególnie dobrą opiekę musiał mieć koń, którym jeździł towarzysz kierownik.

– Bałem się tych zwierząt – przyznaje się Tadeusz. – Jednego razu zmuszano mnie, żebym pojechał do miejscowości, odległej 50-60 kilometrów, samotnie nakarmić sianem byki. Kiedy poprosiłem, żaby ktoś pojechał ze starszych ze mną, komendant NKWD

Korowin tak wlepił mi w nos, że do dzisiaj pozostał skrzywiony. Byli różni ludzie, wielu serdecznych spośród mieszkańców, a w administracji, niestety, nie brakowało złych, wręcz podłych.

Chodził też pieszo 40-kilometrową trasą do osiedla Podgornoje, gdzie była poczta, żeby przynosić paczki. Ciężko było z nimi pokonać drogę, ale wśród innych były paczki od krewnych, a one pozwalały utrzymać się przy życiu. Na trasie mieszkali Rosjanie, u których można było przenocować. Niektórzy podejmowali bardzo gościnnie, nawet częstowali samogonem, mówiąc łagodnie: „Priwykaj, malczik.”<sup>23</sup> W jednym z domów Rosjanka pokazywała mu zdjęcia Polaków, zesłanych dawno przed nimi.

Kiedyś przydzielono Tadeusza pomagać Ukraińcowi, który pracował na kolei. Ale nie zrozumieli się i rozebrał... nie ten barak przy torach, który trzeba było. Bardzo się przestraszył, ale Ukraińiec, bardzo poczciwy człowiek, tylko machnął ręką.

Różne były zajęcia, tak też szybciej leciał czas.

## **Niestrudzony fotograf Adolf**

Brat Tadeusza należał do ludzi bardziej oświeconych i wrażliwych. Miał wykształcenie średnie, interesował się historią, literaturą, a wiadomościami dzielił się z innymi. W tajdze pisał wiersze, które śpiewano jako piosenki.

Jest też Adolf autorem unikalnych zdjęć z Syberii. Jakimś cudem udało mu się zdobyć aparat fotograficzny, który przemycił do posielenija. Ryzykował tym, bo wszystkie cenne rzeczy należało oddać do kamiery chranienija<sup>24</sup>. Ale jakoś potem ludzie przyzwyczaili się do jego aparatu – choć niektórzy bali się pozować do zdjęć.

Gdy ludzie nie chcieli pozować, Adolf mawiał: *Pamiętajcie, przyda się to.*

– No i przydało się – stwierdza jego brat Tadeusz, – komu do akt sądowych, komu do świadectw kombatańskich. Niektóre weszły do kroniki sybiraków, a wiele jeszcze nigdzie nie publikowano.

Tych zdjęć zachowało się kilkadziesiąt. Zebrane zostały po krewnych, którym niegdyś wysyłali. Nie tyle z posiołka, co z miasta Kołpaczew, skąd mniej sprawdzano. A do miasta tego udawał się Adolf byle był jakiś pretekst, nawet symulując chorobę, bo tam mógł dokonać zakupów niezbędnych materiałów. Ale niełatwa była sprawa zrobienia odbitek bez prądu elektrycznego. Papier był więc naświetlany w specjalnym urządzeniu. Zasada jego działania była prosta: na krótko należało odsłonić otwór, przez który sączyło się... światło słoneczne. Taka klasyczna camera obscura! Jak wykazują zdjęcia – wyniki okazały się dobre, wręcz fenomenalne: bez względu na niemal półwiecze od tamtych czasów, zdjęcia nie pożółkły. Utrwaliły najcięższe

fragmenty życia rodziny Dargiewiczów, innych ludzi, którzy już nie żyją, jak również tych, czyje losy pozostają nieznane.

A przecież nie tylko nie wolno było robić zdjęć, ale też żadnych rysunków, zapisek! Jedno z takich zdjęć z podpisem „Pamiętka z Sybiru” otrzymała i rodzina Mieczkowskich.

– Pamiętam, jak na początku posielenija – opowiada Tadeusz, – kiedy jeszcze ojca nam „nie dowieziono” i w Tomsku oczekiwał na wiosnę, żeby wraz z innymi dotrzeć do nas drogą wodną, napisałem mu list z prośbą, żeby kupił mi grzebień ze względu na wszy. Ile miałem przykrości, gdy list trafił do naczalstwa! Potem miejscowi radzili, żeby o ważnych rzeczach w listach nie pisać, bo grzebień, to już „sprawa polityczna”. Jeśli coś prosić o przysłanie, to najlepiej dustu<sup>25</sup>, który działał bardzo skutecznie na miejscowe insekty.

Przeglądam po raz któryś zdjęcia, zrobione w dalekiej Syberii, i nie mogę ukryć podziwu dla tej pasji Adolfa Dargiewicza, zamieszkałego obecnie z rodziną w Białymstoku. Z fotografii na nas patrzą pieresielenicy, ubrani grubo w nędzne łachmany, cień niepewnego uśmiechu błąka się na ich smutnych twarzach. Zdjęcia ukazują różne strony życia na Syberii, ludzi przy pracy. Dopełniają one kronikę syberyjskiego szlaku nie tylko rodziny Dargiewiczów, lecz wielu, którym wypadło razem żyć i dzielić trudny los.



Ferdynand Ruszczyc, „Obłok”, 1902, olej  
na płótnie, 110 x 80 cm, wł. Muzeum  
Narodowe w Poznaniu.

## Życie w tajdze

Choć los wypadł ciężki, to nie można było nie podziwiać majestatycznego i surowego piękna otaczającej przyrody. Mieszkańcy z naszych stron po syberyjskiej gehennie potem raczej nie spotykali tak dorodnych i olbrzymich drzew, które tu umierały stojąc, przeżywszy kilkaset lat. Dwa razy do roku – wiosną i jesienią – przechodziły bardzo groźne burze, które dokonywały naturalnej selekcji w tym dziewiczym lesie: padały drzewa stare i chore. Prócz cedrów rosły tu pichty, brzozy, osiki.

W sklepie w posiołku można było kupić orzeszki cedrowe, z których wypiekano kiedrozi – chrupowate placki o smaku oleju drzewnego. Był to przysmak, do którego się przyzwyczajało z konieczności. W dodatku nie pozostawała sucha patelnia.

Jak się mawiało – tajga karmiła. Rosły czarne jagody, żurawiny. Tylko trzeba było uważać, żeby nie zabłądzić. Jednego razu, we wrześniu – wspomina Tadeusz – znaleziono po kilku dniach poszukiwań ciała zamarzniętych na śmierć zbieraczek żurawin – Polki, Rymszewicz, i Ukrainki. Pochowano je razem na miejscowym cmentarzu.

W tajdze rosło coś w rodzaju krzyżówki – między maliną a truskawką. Były to jagody z niskich krzaków, podobne do jeżyny, o słodko-kwaśnym smaku. Dopiero pod koniec zesłania Tadeusz odkrył w wąwozach zarośla dzikiej porzeczki. Jagody dostarczały niezbędnym organizmowi witamin. Gdyby był cukier, można by przygotować niezliczone zapasy konfitur. W tamtych miejscowościach natomiast zupełnie nie było grzybów – ze względu na duże zabagnienie terenu.

Ziemi mogłeś wziąć, ile tylko chciałeś. Nie był to teren wiecznej zmarzliny i dlatego rosły tu ziemniaki. Sadzono je przy pomocy łopat. Ziemniaki były bardzo smaczne. Może dlatego, że zawsze ich brakowało. Problem był też z ich przechowaniem – mróz trzymał od września aż do maja.

Przy wybitnie kontynentalnym klimacie nie notowano dużych wahań temperatur i lato było bardzo upalne – przyroda jakby chciała nadrobić czas śpiączki w chłodzie, więc cykle wegetacyjne odbywały się bardzo intensywnie. Ale była inna zmora – komary. Noszono specjalne siatki i grube ubrania. Żeby wydoić krowy, rozpalano ogniska, same zwierzęta były mniej narażone, ze względu na długą sierść. Ta rasa bydła była przystosowana do warunków tu panujących. Czasem bydło wyruszało do... tajgi i zazwyczaj powracało, po tygodniu lub dwóch. Krowy były prawdziwą podporą tutejszego życia – nie tylko dawały mleko, można było zaprzęgnąć je do sań, by – na przykład – zwozić siano. Byków, jak też koni, spieczieresielencom trzymać było nie położono<sup>26</sup>.

Kopalin użytecznych w tamtych okolicach nie było. W ziemi natrafiano na warstwy jakichś skorupiaków. Spotykano też jakiś minerał, wielkości grochu. Nie było żadnych skał i kamieni.

– Przyroda dla nie przygotowanych stawiała się wrogiem. Żeby przeżyć, musieliśmy tak się dostosować, aby stała się naszym sojusznikiem – stwierdza mój rozmówca, a potem opowiada o świecie fauny tamtych stron.

Jakże on bogaty! Spotykało się niedźwiedzi, łosi, rysi. Miejscowi Rosjanie urządzali polowania, innym nie wydano zezwolenia na posiadania broni. Przymusowi osadnicy, żeby wyżywić się,

zastawiali sidła. Trafiały do nich przeważnie zające. Przed śmiercią wydawały tak żalosne głosy, że szkoda było tych zwierząt.

Niektórzy odżywiali się mięsem łosi. Z ich skóry robili podwijacze do szerokich nart, ze względu na bardzo puszysty śnieg. Na takich nartach dość wygodnie było przemieszczać się po zaspach – hamowało się pod sierść skóry.

Było jeszcze bardzo pocieszne zwierzątko w paski, które zapamiętał Tadeusz – morenduk. Pojawiał się na wiosnę. Gdy się potrafiło odpowiednio zagwizdać, zwierzątka podchodziły bardzo blisko, ale wystarczył najmniejszy nieostrożny ruch, żeby błyskawicznie umknęły. Wilków tu nie było.

W tajdze nie brakowało ptactwa. Były cietrzewie i głuszce, które z zachodem słońca chowały się do śniegu. Rano wylatywały z dużym łopotem skrzydeł ze swoich kryjówek. Spotykało się też dzięcioły. Zimą zabijały się one niekiedy na śmierć, gdy trafiały w lodowate drzewo... Zwierzęta – wydawało się – tak świetnie przygotowane do tych warunków, też czasem nie oszczędzały surowy klimat.

No, i jeszcze nie można zapomnieć o rybach. Tadeusz nigdy nie był zapalonym rybakiem, ale na Syberii nie mógł przejść obojętnie, kiedy zobaczył, jak ryby dosłownie wyskakują z wody,

by połykać motyle, wyglądem przypominające nasze kapuśniaki. Ryby miały kolor srebrny i czerwone piórka, a nazywały się chyba krasnopiórki, czy jakoś tak podobnie. Jak one brały! Wyskakiwały ponad powierzchnię wody, byle tylko dać złapać się! Tadeusz przynosił całe ich wiadra i wtedy to była uczta. Tylko do rzeki nie było tak blisko – chyba ze cztery kilometry. Ale się opłacało, bo w rzece można było wykąpać się, choć woda była pioruńsko zimna. Prawda, ryby w postaci suszonej dostarczali nie tyle rybacy co kłusownicy, których w tych stronach nie brakowało.

- Nie należeliśmy do myśliwych, ani rybaków, to warunki zmuszały do tego, żeby jakoś przeżyć – podsumował Tadeusz.

*druga część ukaże się w poniedziałek, 6 lutego.*

---

# Z Dzikowa

do Montrealu.

Powojenne losy rodu  
Tarnowskich.



Marcin hr Tarnowski, Montreal 2008 r., fot. Joanna Sokołowska-Gwizdka.

## **Marcin Tarnowski**

Urodziłem się w Dzikowie w 1935 roku. W 1939 roku wyjechaliśmy na parę tygodni do Klemensowa, do Zamoyskich – rodziny mojej matki. Gdy zaczęła się wojna, przypadkiem okazało się, że jeden z wysokich rangą generałów niemieckich w Zamościu, dobrze znał rodzinę mojego dziadka. Dał nam więc autobus z eskortą i zostaliśmy ewakuowani do Dzikowa. Dostaliśmy do użytku niewielką część zamku, resztę zajęli Niemcy. W Dzikowie mieszkaliśmy do 1944 roku. Koniec wojny przeżyliśmy w Ojcowie pod Krakowem.

Gdy skończyła się wojna wszędzie panował bałagan, nie wiadomo było gdzie szukać rodziny, nie znaliśmy ich losów. Nie wiedzieliśmy, że nasz ojciec w międzyczasie przeszedł na piechotę prawie pół Niemiec, bo gdy front się przesuwał, przerzucano jeńców z obozów od obozu do obozu, coraz bardziej na zachód. Ale po wstąpieniu do I dywizji pancerniej gen. Maczka, zaczął nas szukać. Przypuszczaliśmy, że ojciec będzie nas szukał w okolicach Dzikowa. Z Ojcowy więc na jesieni 1945 roku przenieśliśmy się do Sandomierza. Nie mogliśmy wrócić do Dzikowa, nie było nam wolno. Mieszkaliśmy więc w jakimś domu w Sandomierzu, gdzie dokładnie, nie pamiętam, ale wiem, że budynek przylegał do kościoła św. Jakuba. Suterrenami można było przejść do zakrystii. Z naszego domu widać było w dole Wisłę, hen daleko, daleko. Wyobrażaliśmy sobie, że widzimy

Dzików, bo pamiętaliśmy, jak w odwrotną stronę z zamkowej wieży widać było Sandomierz. W Sandomierzu zaczęliśmy chodzić do szkoły. Co jakiś czas chłopci po kryjomu podrzucali nam prowiant z majątku.

Pewnego dnia dostaliśmy wiadomość, że ojciec nie wraca do Polski. Przenieśliśmy się więc do Krakowa, a stamtąd matka próbowała na wszelkie sposoby zorganizować nam wyjazd. Wreszcie złapała „zielony transport”. Ja wówczas zachorowałem na odrę, musieliśmy się więc podzielić. Najpierw pojechało starsze rodzeństwo, Maria i Jan (w marcu 1946 r.), a potem mama ze mną i młodszym bratem – Pawłem (w maju). Z Krakowa dostaliśmy się przez Cieszyn i Pragę do Norymbergi. Tam przyjechał po nas kolega ojca i zabrał do Meppen. Mieszkaliśmy razem parę miesięcy, a potem na 5 lat przenieśliśmy się do Brukseli.

Znów chodziliśmy do szkoły, ale mnie coś nie szło z językiem flamandzkim, wciąż oblewałem i musiałem być przenoszony. W Belgii mój ojciec miał dużo znajomych, kończył Uniwersytet pod Brukselą, wydawało się więc, że będziemy mogli tam sobie ułożyć życie. Ale w tych czasach na przełomie lat 40. i 50. w Europie Zachodniej bardzo trudno było o pracę, a szczególnie dla młodych przyszłość nie rysowała się optymistycznie. Dlatego ojciec z matką zdecydowali, że lepiej się przenieść tam, gdzie młodzi będą mieli jakieś perspektywy. Wybrali Kanadę, bo tam

łatwiej można było dostać wizę.

Podróż odbywała się małymi statkami, które przewoziły dawniej wojsko, a teraz zostały przystosowane do przewozu emigrantów. Podróż trzeba było odpracować, pamiętam, że my pracowaliśmy w kuchni. Wylądowaliśmy w Halifaxie w Nowej Szkocji. Mieliśmy dalej jechać na zachód Kanady pracować na farmie (ojciec przez jakiś czas pracował na farmie i zbierał kartofle). Ale w końcu zatrzymaliśmy się w Montrealu. Rodzice mieli tu znajomych i krewnych, łatwiej było więc jakoś się zaczepić i zacząć życie w nowym miejscu. Był tu krewny Władzio Tyszkiewicz, u którego zatrzymaliśmy się na parę dni, potem była P. Maria Pinińska oraz P. Dresher, którzy bardzo pomagali ojcu.



Dwóch braci, Jan A. (z lewej) i Paweł (z prawej) Tarnowscy na tle kominka w Wielkiej Sali zamku z obrazem Dziadka Zdzisława hr. Tarnowskiego

wiszący nad nimi, fot. arch. Marcina Tarnowskiego.

Znów zaczęliśmy chodzić do szkoły. Ja i mój młodszy brat Paweł poszliśmy od razu do college'u. Starsze rodzeństwo musiało pójść do pracy. Rodzice natomiast pracy nie mogli znaleźć. Gdy ojciec powiedział, że ma dwa dyplomy (szkołę handlową i rolnictwo), to człowiek, który go przyjmował, podniósł się z miejsca i oznajmił – ja panu mojej posady nie oddam. Tak więc nie tylko, że było mało miejsc pracy, to trzeba tu było mieć lokalne przygotowanie, znać realia itd. Ojciec więc się zdecydował na jakąkolwiek pracę i poszedł sprzedawać dywany, w dużym sklepie, który wówczas nazywał się Morgan. I sprzedawał je aż do emerytury, na którą przeszedł kilkanaście lat później.

Matka nauczyła się kreślić. Przez jakiś czas pracowała w fabryce samolotów jako kreślarka. Potem pracowała w biurze inżynierskim, które, o ile dobrze pamiętam, robiło m. in. przeróbkę Polskiego Konsulatu w Montrealu. No, a my, młodszy, raz się uczyliśmy, raz nie, zmienialiśmy szkoły, różnie to bywało. Ja nawet w pewnym momencie uciekłem z domu.

Starszy brat Jaś pojechał na zachód Kanady i tam spotkał się z wujem Czartoryskim, mężem siostry mojej matki Anny Zamojskiej. I razem pojechali „szukać skarbów”. Od 1953 czy 54

roku poszukiwał najpierw uranu, potem złota, potem nafty. Pracował w Kanadzie i poza nią - w Stanach, Ameryce Południowej, w Afryce, Azji, nawet w Nepalu. Nadzorował całe ekipy. Był od tego ekspertem. Ożenił się z Rumunką z pochodzenia, ma trzy córki, które założyły swoje rodziny. W latach 90., gdy zmienił się ustrój w Polsce, wrócił do Polski i zamieszkał w Warszawie. Zajął się walką o scalenie dzikowskich zbiorów, zaczął wytaczać sprawy i porządkować rodzinne dziedzictwo. W międzyczasie urodziły mu się dwie następne córki i po raz drugi się ożenił, z prawniczką.

Moja starsza siostra pierwsza z nas wyszła za mąż za Zdzisława Kryzana, adwokata z poznańskich okolic. Poznali się jeszcze w Belgii, potem on przyjechał do niej do Kanady.



Jan A. Tarnowski z siostrą Marią Kryzan  
na tle szaf archiwum, w najstarszej

części zamku, która się nie spaliła w  
czasie pożaru w 1927 r, fot. arch.  
Marcina Tarnowskiego.

Mój najmłodszy brat Paweł ożenił się z Kanadyjką, Yolandą i teraz mieszkają w Ottawie. Mają dwoje dzieci, i obydwie są na emeryturze.

Ja, po skończeniu college'u poszedłem na Uniwersytet. Zrobiłem to dla ojca, bo koniecznie chciał, żebym został inżynierem. Ale mnie to zupełnie nie pasowało. Zaliczyłem jeden rok i poszedłem do lotnictwa. Marzyło mi się zostać pilotem, ale zostałem nawigatorem. No i spędziłem część życia w lotnictwie, latałem w tę i z powrotem po Kanadzie, po Stanach. Mam ponad 4 tysiące godzin zaliczonych w powietrzu.

W międzyczasie się ożeniłem. Byłem jedynym z braci, który ożenił się z Polką. Elżbieta była córką majora Rodziewicza, zamordowanego w Starobielsku. Urodziła się w 1940 roku i ojca nigdy nie poznała. Zabawne, bo jej ojciec i mój ojciec, byli przed wojną w tym samym 8 Pułku Ułanów księcia Józefa Poniatowskiego. Nie znali się bezpośrednio, ale wiedzieli o sobie. Mój ojciec był rezerwistą, a jej ojciec w służbie czynnej.

Mamy czwórkę dzieci – córkę i trzech synów. Po 11-tu latach coś

jednak nie grało między nami i rozeszliśmy się. Od tego czasu, oboje żyjemy samotnie, widując się często razem z dziećmi i dzięki Bogu teraz jesteśmy w bardzo dobrej komitywie.

Córka Krysia mieszka w Stanach, ma trzech synów. Na zjeździe w Dzikowie w 2000 roku była Elżbieta z trzema synami. Synowie założyli rodziny, mają też dzieci. Tak więc mam dziewięcioro wnucząt, z przewag chłopców.

Czy któreś z dzieci chce się włączyć w odzyskanie Dzikowa? Nie wiem.

Może najbardziej Michał, mój średni syn, który mieszka pod Ottawą. On pierwszy z braci się ożenił, tak więc jego dzieci są już bardziej samodzielne. Jego żona, mimo, że nie jest Polką, była w Polsce i pozytywnie odbiera naszą tradycję. Dzieci także. Michał zajmuje się stroną internetową Związku Rodu Tarnowskich. Wraz ze swoją matką, Elżbietą pojechał na pogrzeb swojej babki, Róży do Dzikowa w 2005 roku. Bardzo był całą ceremonią przejęty, a szczególnie sprowadzeniem prochów Babci do krypty Tarnowskich pod kościołem oo. Dominikanów w Tarnobrzegu .

Dzieci mówią po polsku, ale żadne nie jest w polskim środowisku. Próbuję dzieciom tłumaczyć, przekazać wiedzę o rodzinie, założyliśmy Związek i mam więc nadzieję, że coś z tego

wyniknie. Ale co dalej będzie? Czas pokaże.

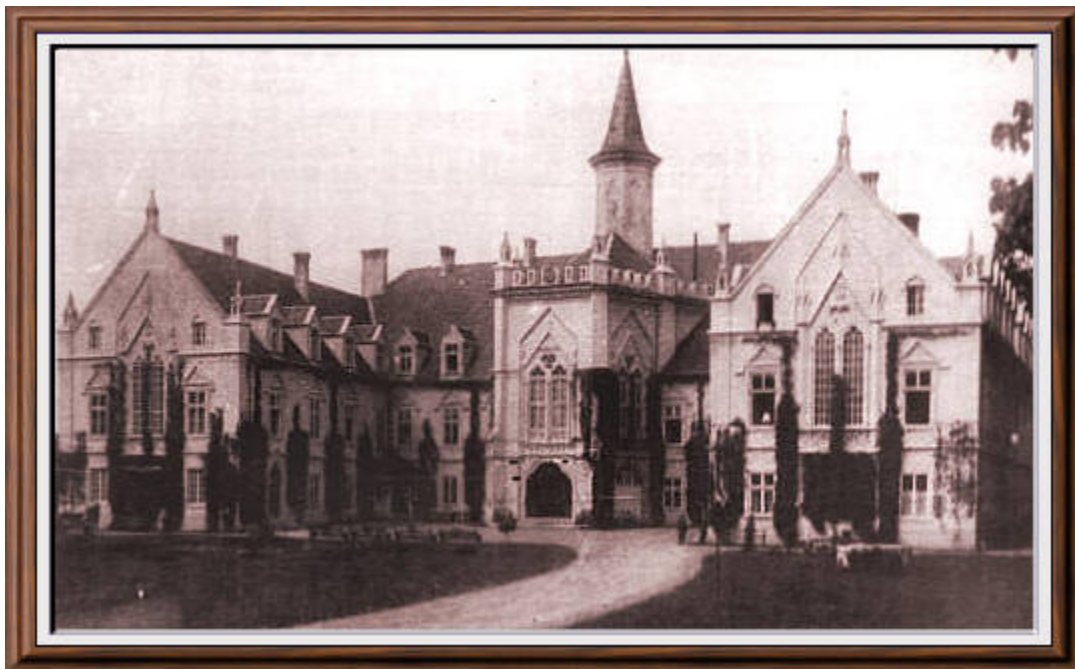


Obraz Matki Boskiej Dzikowskiej w kościele oo

Dominikanów ufundowanym w XVII w.przez  
Tarnowskich w Tarnobrzegu.

**Rozmowa odbyła się w 2008 roku. Rozmawiała Joanna Sokołowska-Gwizdka. Marcin Tarnowski zmarł w 2009 roku.**

# Tarnowscy z Dzikowa



Rezydencja Tarnowskich w Dzikowie. Elewacja południowa zamku w 1925 r. niedługo przed wybuchem pożaru Źródło: Zamek Tarnowskich w Dzikowie, A. Janas, A. Wójcik, Tarnobrzeg 1994 .



Rezydencja Tarnowskich w Dzikowie. Zamek w 1927 r. po wybuchu pożaru. Źródło: Zamek Tarnowskich w Dzikowie, A. Janas, A. Wójcik, Tarnobrzeg 1994 .

## Joanna Sokołowska-Gwizdka

*Wierni Bogu, Ojczyźnie i Rodzinie, ufni w opiekę*

*Matki Boskiej Dzikowskiej*

Dzieje polskich rodzin arystokratycznych to temat rzeka. Pokolenie, urodzone w pałacach i w wielkich latyfundiach, wychowane wśród unikatowych dzieł sztuki, dobrze pamięta okres dawnej świetności swoich rodzin. Ludzie ci musieli wyrzec się wszystkiego, co tworzyło ciągłość oraz wielusetletnią tradycję rodzinną i opuścić swoje siedziby, nie mogąc zabrać nawet pamiątek. Wyjechali na tułaczkę z przysłowiową jedną walizką (*walizka Róży Siemieńskiej, pokazana została na wystawie „Raj utracony, raj odzyskany” w Montrealu w 2006 r.*). Wielu z nich

osiadło za granicą, aby rozpocząć historię rodziny od nowa, poza granicami kraju.

Artur Tarnowski (1903-1984). ostatni pan na Dzikowie był synem Zdzisława i Zofii z Potockich. Gruntownie wykształcony, pełnił, poza zajmowaniem się administracją Dzikowa, liczne funkcje publiczne, m.in. był posłem na Sejm Rzeczypospolitej. Jego żona Róża Tarnowska (1911 - 2005) była córką Maurycego Zamoyskiego, czołowego polityka II Rzeczypospolitej, m.in. ministra spraw zagranicznych. Artur Tarnowski zmobilizowany we wrześniu 1939 roku, 24 września dostał się do niewoli pod Zamościem. Jednak tego samego dnia uciekł i przedostając się lasami, 27 września dotarł do Dzikowa. Na zamku kwaterowali Niemcy, którzy ciężko chorej Róży Tarnowskiej i dzieciom zostawili kilka pokoi w skrzydle. Artura Tarnowskiego od razu nie aresztowano, ale oświadczono mu, że gdyby uciekł natychmiast zostaną rozstrzelane żona i dzieci. 6 października Niemcy go wywieźli. Od tego czasu przebywał w oflagu. Róża Tarnowska musiała sama zarządzać olbrzymim majątkiem. Do tego cały czas pomagała żołnierzom podziemia. W 1944 roku wraz z czwórką małoletnich dzieci: Marią (12 lat), Janem (11 lat), Marcinem (9 lat) i Pawłem (7 lat) musiała opuścić Dzików. Artur Tarnowski, po wyzwoleniu z oflagu, wstąpił do I dywizji pancерnej gen. Maczka, w której starszy brat Artura, Jan, był adiutantem generała. Aby dołączyć do męża, Róża Tarnowska wraz z dziećmi wyjechała z Polski przez zieloną granicę. Spotkali

się w Meppen w Niemczech. Po demobilizacji w 1947 roku cała rodzina przeniosła się do Brukseli, a w 1951 r. Artur i Róża Tarnowscy wraz z dziećmi wyemigrowali do Kanady i zamieszkali w Montrealu. Tak jak wielu przedstawicieli ich środowiska, wychowywani w skromności i poszanowaniu dla innych, przystosowali się do warunków na obcej ziemi i do samodzielnej walki o egzystencję, choć na początku było im bardzo trudno. Przechodzili taką samą drogę, jak wielu innych emigrantów. Ale nie poddali się.



Artur i Róża hr Tarnowscy po ślubie, fot. arch. Marcina Tarnowskiego.



Wyjście z Katedry na Wawelu po ślubie Zdzisława hr Tarnowskiego i Zofii z hr Potockich, fot. arch. Marcina Tarnowskiego.

Tarnowscy z Dzikowa herbu Leliwa mają w swoich szeregach wielu wybitnych przedstawicieli – słynnego hetmana Jana Tarnowskiego, historyka literatury polskiej i rektora Uniwersytetu Jagiellońskiego Stanisława Tarnowskiego, czy poetę dramaturga i kompozytora – Władysława Tarnowskiego.

Zamek w Dzikowie został zbudowany w XV wieku, pełnił wówczas funkcje tylko wieży obronnej. W 1522 roku Dzików kupili Tarnowscy od rodziny Ossolińskich i powoli zaczęli go rozbudowywać. Rodzinna rezydencja Tarnowskich znajdowała

się wówczas w Wielowśi, która należała do nich od 1330 roku. Gdy jednak w poł. XVII wieku Wielowieś została kompletnie spalona przez wojska szwedzkie, zamek w Dzikowie został obrany na rodowe gniazdo i przebudowany. W XVIII w. w Dzikowie odbyła się tzw. konferencja dzikowska zawiązana w celu obrony tronu polskiego dla króla Stanisława Leszczyńskiego (1734). Jednak nie powiodło się utrzymanie tronu, a król musiał wyemigrować do Francji.

Kolejna przebudowa zamku miała miejsce po 1830 r. za czasów Jana Feliksa Tarnowskiego. Powstał pałac w stylu neogotyckim według projektu architekta Franciszka Marii Lanciego. Zmianom poddano także system zamkowych fortyfikacji, zasypano część fos i utworzono park z romantycznymi mostkami. Całość otaczało żelazne ogrodzenie.



Artur i Róża hr Tarnowscy z paziąmi, fot. arch. Marcina Tarnowskiego.

Ten piękny obiekt został w dużej części zniszczony podczas pożaru, w 1927 roku. W ratowaniu cennych zbiorów i pamiątek brała udział pod kierownictwem Dr. Marczaka ludność z okolicy oraz młodzież z pobliskiej szkoły. Niestety, mimo specjalnych konstrukcji zabezpieczających zawalił się ogniotrwały sufit w Wielkiej Sali i zabił tam dziewięciu bohatersko ratujących zbiory. W 1931 r. pałac odbudowano, ale nadano mu już inny wygląd.

Pracami kierował Wacław Krzyżanowski, który zaproponował przebudowę w stylu wczesnobarokowym.

Podczas II wojny światowej zamek nie uległ zniszczeniu, ale po wojnie, w 1945 roku został skonfiskowany wraz z całym majątkiem przez ówczesne władze. Utworzono w nim istniejącą do niedawna szkołę techniczną, a kaplica zamkowa służyła za zwykłą salę lekcyjną. W 2001 r. przywrócono kaplicy jej dawną funkcję i została oddana pod opiekę oo. Dominikanów.



Ślub Artura i Róży hr Tarnowskich. Jan hr Zamoyski i Andrzej hr Tarnowski w kontuszach, fot. arch. Marcina Tarnowskiego.

## Historia Dzikowskich Zbiorów

Właściciele dóbr – Jan Feliks Tarnowski, senator Królestwa Polskiego (wychowany w atmosferze Sejmu Czteroletniego przez dziadka Stanisława Małachowskiego) i jego żona Waleria ze Stroynowskich, w tragicznym dla Polski 1830 r., postanowili przenieść się na stałe z Warszawy do Dzikowa. I tu chcieli stworzyć kolekcję pamiątek narodowych. W odnowionej siedzibie Tarnowscy zgromadzili wspaniałe zbiory. W XIX w. było tu 250 obrazów, m.in. Tycjana, Rubensa, Rembrandta, Van Dycka Malczewskiego, Matejki. Kolekcję uzupełniał zbiór miniatur Vincentego Lesseur oraz szereg obrazów staropolskich i portretów rodzinnych, wykonanych przez malarzy polskich z tej epoki. Archiwum i biblioteka, gdzie znajdowały się ważne dokumenty, dotyczące historii Polski i rodziny oraz wartościowe starodruki i rękopisy sprawiały, że zbiory Dzikowskie były jednymi z najciekawszych i najpiękniejszych w Polsce. To właśnie w Dzikowie przechowywano najstarszy rękopis „Kroniki Polskiej” Galla Anonima, pierwszy odpis Bogurodzicy, oryginał „Kronik” Wincentego Kadłubka i Statutów Wiślickich czy rękopis „Pana Tadeusza” Adama Mickiewicza.

Jeszcze przed I wojną światową słynna stała się sprawa obrazu Rembrandta „Lisowczyk”, jednego z najcenniejszych obrazów w Polsce, który znajdował się w dzikowskiej kolekcji Tarnowskich, sprzedanego i wywieziony do Nowego Jorku w 1910 r. Pisze o

tym Artur hr Tarnowski w artykule „*Prawda o zbiorach dzikowskich*”, opublikowanym w „Kulturze paryskiej” w 1959 roku.

...Aby odpowiedzieć na pytanie, dlaczego podjęta została przez rodzinę taka decyzja, trzeba pamiętać, że żyli oni wtedy w innej epoce. Żyli pod zaborami. Tendencją narodową było wtedy nie sprzedanie ani piędzi ziemi obcemu, a jeżeli możliwe, wykupywanie jej, by w ręce polskie znowu wróciła. Wtedy ziemia w rękach polskich była problemem znacznie ważniejszym, niż posiadanie nawet najcenniejszego płótna Rembrandta. To był punkt widzenia narodowy, nie wszystkich może, ale bardzo wielu Polaków.

Grał tu także sentyment rodzinny do „puszczy”, która przez długie wieki, w części co prawda, do rodziny należała, a utracona została w konsekwencji przejęcia jej po rozbiorach przez zaborcze władze austriackie.

Tak więc „Lisowczyk” został sprzedany, aby pieniądze można było przeznaczyć na wykup okolicznych ziem, które mimo, że nie leżały w zaborze pruskim, dotknięte były germanizacją.

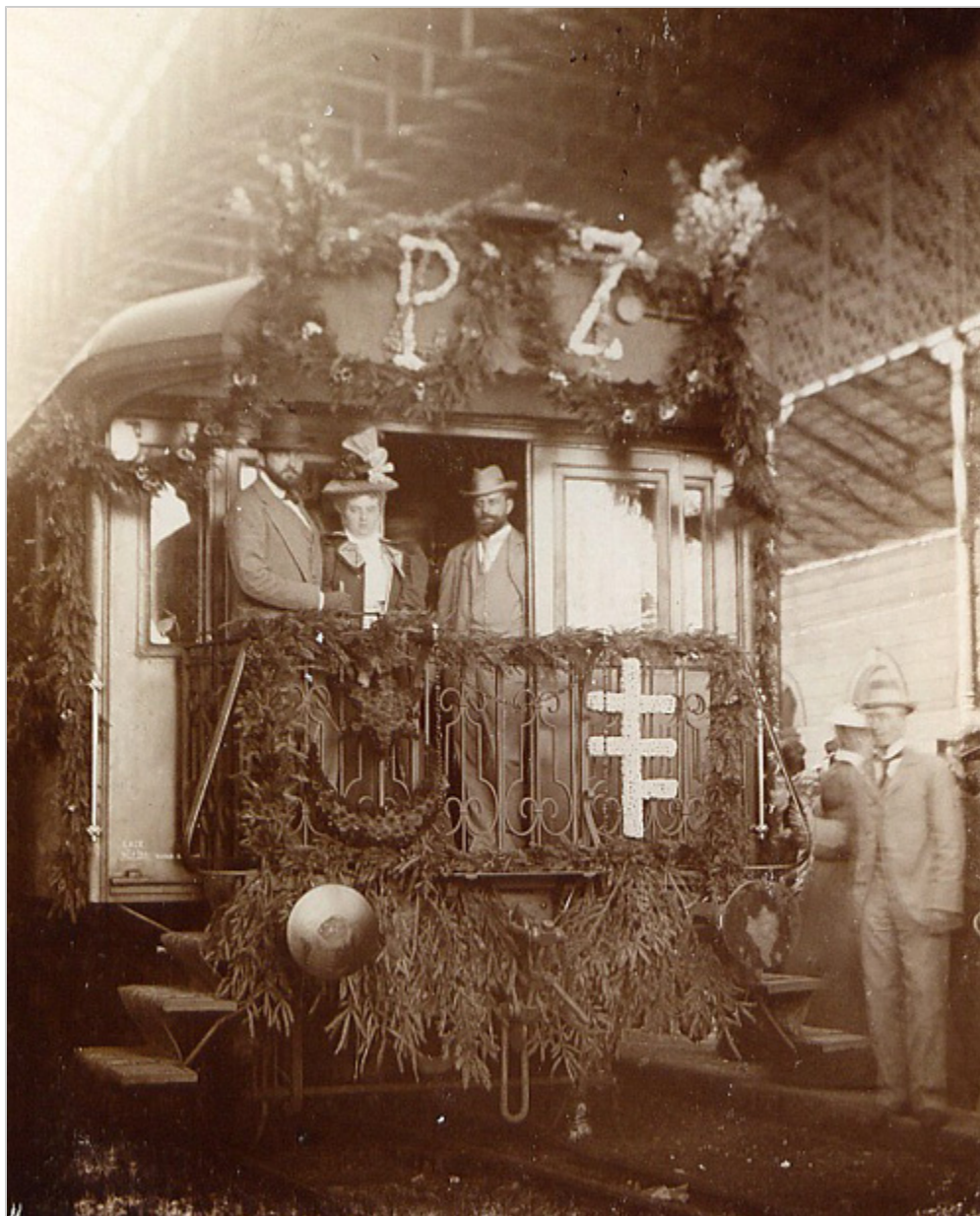
Dziś po pięćdziesięciu przeszło latach, może inaczej sprawa

wygląda. – pisze dalej hr Tarnowski. – Ziemia nadal jest w Polsce i polska. Nie ma żadnych właścicieli, ani Tarnowskich od 18 pokoleń osiadłych w Wielowsi, a od 13 w Dzikowie. (...) Lisowczyka oglądać można u Frick'a w New Yorku, a autoportret Rembrandta, drugi obraz tego malarza ze zbiorów dzikowskich i inne cenne pamiątki zostawione przeze mnie w polskim Lwowie – gdzie są? – Czy do Polski wrócą? – przyszłość pokaże.

Artur Tarnowski w artykule opisuje też losy innych dzieł sztuki.

W Ameryce, poza Rembrandtem, znajduje się także inne dzieło sztuki, nabyte przez Jana Feliksa i Walerię Tarnowskich. (...) Chodzi tu o wielkich rozmiarów rzeźbę dłuta Canovy, przedstawiającą „Perseusza”. Rzeźba ta kupiona od Canovy, przewieziona została morzem do Odessy, skąd wołami dociągnięta do Horochowa. Tam ustawiona, po kilku latach swoim ciężarem spowodowała pęknięcie murów pałacu, wobec tego zdecydowano ją sprzedać i do Dzikowa, do którego była przeznaczona nie przewozić. „Perseusz” stał następnie przez szereg lat u Potockich w Wilanowie, w nadziei, że się znajdzie nań kupiec w Polsce. Dziedzicem jej był Juliusz Tarnowski, najmłodszy brat mojego dziada i prof. Stanisława. Gdy Juliusz zginął w Powstaniu 1863, rzeźba przeszła na braci. Oni, po wyjściu Stanisława z kilkuletniego

więzienia w Ołomuńcu za współudział w Powstaniu, sprzedali ją w Wiedniu. Profesor Tarnowski za pieniądze uzyskane z tej sprzedaży nabył coś, co dla każdego Polaka jest stokroć cenniejsze niż rzeźba słynnego Canovy. Nabył od syna Mickiewicza, który był w Paryżu w poważnych trudnościach finansowych, rękopis „Pana Tadeusza”. W kilkadziesiąt lat później, gdy z kolei Hieronim, syn prof. Stanisława, potrzebował gotówki, ojciec mój (Zdzisław – przyp. red.) odkupił „Pana Tadeusza” do zbiorów dzikowskich, gdzie był, aż do wybuchu wojny, troskliwą opieką otaczany.



Wjazd pociągiem do Dzikowa, fot. arch.  
Marcina Tarnowskiego.

Za czasów Zdzisława Tarnowskiego i jego żony Zofii z Potockich (rodziców Artura hr Tarnowskiego) cenne zbiory dzikowskie, nadal się powiększały.

(...) nadmienię teraz – pisze dalej w artykule dla „Kultury paryskiej” Artur Tarnowski – że do zbiorów dzikowskich przybyły za życia mojego ojca i inne cenne przedmioty. Został nabyty w Wiedniu piękny portret młodzieńca, malowany przez Joast Sustermans’a, którego reprodukcja, figurująca na str. 81 książki pióra pani Grottowej, każe przypuszczać, że został nabyty przez Jana Feliksa i Walerię Tarnowskich. Od J. Borkowskiego nabył mój ojciec także „Stado Hetmańskie”, chyba najpiękniejszy obraz pędzla Juliusza Kossaka. Nie wiem skąd, ale przybyły też dwa olejne szkice Matejki. Zawisło też na ścianach wiele portretów i obrazów malowanych przez J. Malczewskiego, Juliusza i Wojciecha Kossaków, Pochwalskiego, (miniatury) Dąbrowskiej i innych polskich malarzy. Nie na tym koniec. Śp. Matka moja bardzo interesowała się biblioteką dzikowską. Całe swoje życie nabywała stare, ale i współczesne książki, by uzupełnić bibliotekę dzikowską. Czy są na to dowody w aktach dzikowskich, które znajdują się obecnie na Wawelu, nie wiem. Pewnie ich nie ma, bo matka moja książki nabywała głównie przez księgarnie Krzyżanowskiego, oraz Gebethnera i Wolfa w Krakowie, a kupując płaciła zaraz gotówką.

O kolekcji dzikowskiej dalej pisze Artur Tarnowski:

Pożar bardzo wiele zniszczył, ale to, co zostało, pieczołowicie znowu skatalogowano. Książki i archiwum opracował dr Marczak. Obrazy wszystkie były spisane, a spis uzupełniony fotografiami., które wykonał fotograf z Krakowa, o ile mnie pamięć nie myli, specjalista z „Ilustrowanego Kuriera Codziennego”. Może więc tam uchowały się fotografie obrazów dzikowskich, jeżeli katalog dzikowski nie istnieje.

W czasie wojny bezcenne skarby kultury narodowej i europejskiej zostały przez Artura Tarnowskiego starannie ukryte w Dzikowie, a także zdeponowane w Muzeum Narodowym w Warszawie i Ossolineum we Lwowie.

Gdy wiosną 1939 roku sytuacja międzynarodowa stała się coraz bardziej naprężona – pisze Artur Tarnowski – ustaliłem ze śp. Dr Michałem Marczakiem, ostatnim bibliotekarzem dzikowskim, co i jak należy przygotować na ewentualność wojny. (...) Mobilizacja została ogłoszona. Włożyłem mundur i wyjechałem. Nowe obowiązki wojskowe nie pozwalały mi naturalnie działać w Dzikowie. Ósmego września wieczorem dostałem rozkazy do przekazania w Rzeszowie – Stalowej Woli i w Baranowie, co pozwoliło mi na wstąpienie do Dzikowa w ciągu dnia 9-go września. Byłem w domu zaledwie kilkanaście godzin, ale wystarczyło mi to, by

spowodować załadowanie na furmanki folwarczne wybranych uprzednio z dr Marczakiem najcenniejszych archiwaliów, ksiąg i obrazów i wywiezienie ich na odlegle od dróg komunikacyjnych leśnictwo. (...) Wiedząc, że mam jechać przez Lwów, by zameldować się w moim dowództwie zabrałem ze sobą do samochodu szereg najcenniejszych przedmiotów, a mianowicie: autoportret Rembrandta, portret Izabeli Austriackiej, żony Krystiana króla duńskiego, malowany przez Jana Gossart, zwanego Mabuse, (...) całą kolekcję miniatur dzikowskich. Poza tym do tej samej skrzyni zostały przeze mnie włożone: „Kronika Kadłubka”, kopia z XV wieku Statutu Wiślickiego, znana pod nazwą „Kodeksu dzikowskiego”, także rękopis „Pana Tadeusza” oraz inne cenne przedmioty jak: karabela i buława Hetmana Tarnowskiego, pergamin podpisany przez Karola V, przyznający Hetmanowi tytuł comesa, tabakierka marszałka S. Małachowskiego, ofiarowana mu przez Fryderyka Augusta z jego miniaturą oraz zegarek, który miał przy sobie ks. Józef, gdy utonął w Elsterze.

Wszystkie te wymienione przedmioty przewiozłem do Lwowa i w nocy z 10-go na 11-go września, nie mogąc samemu złożyć ich w Ossolineum, powierzyłem przyjacielowi rodziny od trzech pokoleń, śp. Mecenasowi M. Bilikowi.

Inną część zbiorów zabezpieczyła Róża Tarnowska, gdy sztab niemiecki opuścił zamek. Udało się zamurować w suchych piwnicach pod zamkiem i w grobowcach pod kościołem najcenniejsze części archiwum i biblioteki. Obrazy i inne zabytki zostały ściągnięte z leśnictwa i przekazane w depozyt do Muzeum Narodowego w Krakowie.

Z notatki, która ukazała się we „Frankfurter Zeitung” w styczniu 1940 r. Artur Tarnowski domyślił się, że skrzynie zdeponowane u mecenasa Bilika we Lwowie, zostały przekazane do Ossolineum, a tam zostały znalezione przez bolszewików.

Pamiętam, że do żony zaraz napisałem kartkę jeniecką mniej więcej tej treści: Pan Tadeusz zdrowy, jest u Ossolińskich, zacny Mikołaj dobrze się nim opiekował, oby dalej Panu Tadeuszowi zdrowie dopisywało. – pisze Artur Tarnowski w artykule. – Od tej pory mało na ten temat z żoną korespondowałem. Dopiero po 22 czerwca 1941 roku, gdy wybuchła wojna niemiecko-rosyjska, zacząłem pisać listy, w którym pełno było o Tadeuszu, Kadłubku, Wiślickim, Izabeli (nazwiska Rembrandta nie używałem, bojąc się by cenzura nie rozszyfrowała), prosząc by jechała do nich, bądź starała się o ich powrót. Rezultatem starań żony, po zajęciu Lwowa, był powrót miniatur do Dzikowa. Innych rzeczy nie udało się wydostać z Ossolineum. (...) Tak wyglądały sprawy do 3-go

sierpnia 1944 roku, to jest do chwili wkroczenia do Dzikowa wojsk Związku Sowieckiego. Żona moja z dziećmi zmuszona była opuścić Dzików. Zabrać z sobą nic nie mogła.

Zbiorami opiekował się wówczas dr Michał Marczak, ale

ciężki musiał być bardzo ten ostatni okres w Dzikowie dla dr Marcza. Wchodzące wojska sowieckie w jego oczach robiły zniszczenia. Np. siodło i rząd Hetmana Tarnowskiego zniszczone zostały zupełnie. Gdy pierwszy impet minął, zniszczeń więcej nie było, ale za to ustalające się pomału nowe władze w mieście Tarnobrzegu brały co im było potrzebne z mebli do urządzania biur i mieszkań. Kto zajmował się, względnie kto opiekował się pozostawionym w Dzikowie zbiorami po śmierci dr Marcza – nie wiem.

Po wojnie zbiory przejęły różne instytucje państwowe, do zamku w Łańcucie trafiło ok. 500 eksponatów z Dzikowa, a do Muzeum w Rzeszowie ponad 80. Znikoma tylko część zdeponowana została na zachodzie, sporo jednak zaginęło bez śladu wraz z zagarniętymi przez Sowieców wschodnimi terenami Polski.



Zdzisław hr Tarnowski (ojciec) w kontuszu, fot. arch. Marcina Tarnowskiego.



Artur hr Tarnowski (syn) w kontuszu, fot. arch. Marcina Tarnowskiego.

Jeszcze przed wojną powstał pomysł, aby stworzyć Muzeum i Bibliotekę Tarnowskich, instytucję podobną do Muzeum Czartoryskich w Krakowie, czy Ossolineum we Lwowie, aby zbiory służyły większej części społeczeństwa, niż gdy tworzą część zbiorów prywatnych. Muzeum takie miałoby powstać w dużym mieście, będącym centrum kultury. Jednak wojna przerwała plany. Po wojnie natomiast Artur Tarnowski pragnął zrealizować ten pomysł i przez wiele lat starał się, aby scalić zbiory dzikowskie i zgromadzić je w jednym miejscu w Polsce. Korespondował z prof. Stanisławem Lorentzem i z innymi

osobami, które mogłyby podjąć stosowne decyzje.

To co zostało w moim ręku – pisał – tj. zaledwie miniatury, z radością ofiarowałbym Polsce, gdyby połączone zostały razem z resztą zbiorów dzikowskich i suskich rozproszonych po muzeach, bibliotekach i archiwach polskich i gdyby utworzona z nich została jedna całość np. w Krakowie w Muzeum Narodowym i nazwane po wieczne czasy zbiorami Tarnowskich z Dzikowa i Sucheja.

Wszystkie te zabiegi były niestety, bezskuteczne. W 1975 r. Artur Tarnowski stracił wzrok i musiał zaprzestać walki o scalenie zbiorów dzikowskich. Tak więc 108 miniatur z przedwojennego Dzikowa, przywiezionych do Belgii przez jego siostrę, Zofię Potocką, zdecydował się podarować Muzeum Polskiemu w Rapperswilu, w Szwajcarii.

Artur Tarnowski zmarł 19 grudnia 1984 r. w Montrealu. Spadkobiercą stała się wówczas jego żona Róża z Zamoyskich Tarnowska, którą we wszelkich prawnych czynnościach reprezentował najstarszy syn Jan A. Tarnowski. Obydwoje przejęli więc misję odzyskania i scalenia dzikowskich zbiorów. Po zmianach ustrojowych w Polsce w 1990 roku wydawało się, że nadszedł czas, gdy wieloletnia walka o zbiory będzie mogła się zakończyć. Rozmowy Jana A. Tarnowskiego w muzeach,

archiwach i bibliotekach doprowadziły do tego, że zostały podpisane umowy depozytowe z wieloma instytucjami (Ossolineum we Wrocławiu - rękopis „Pana Tadeusza”, Biblioteka Narodowa w Warszawie - 4 tysiące starodruków, Biblioteka Jagiellońska - rękopisy dzikowskie). Z podobnymi umowami depozytowymi z Muzeum w Łańcucie oraz w Rzeszowie sprawa okazuje się trudniejsza i decyzje od wielu lat są rozstrzygane sądownie.

W 2003 roku Minister Kultury wyraził zgodę na utworzenie w zamku dzikowskim muzeum. Od 2006 do 2011 trwały prace remontowo-budowlane w zamku, a odzyskiwane eksponaty powoli wracały do nowego Muzeum Tarnowskich w Dzikowie.

Po śmierci matki, w 2005 roku, Jan A. Tarnowski dalej walczył o scalenie wszystkich zbiorów w Dzikowie.



In 1410 Jan Tarnowski from Tarnow at the head of his cavalry regiment at the battle of Grunwald fought and won by the Polish royal army against the Teutonic knights

Chorągwie Jana i Spytka Tarnowskich pod Grundwaldem w 1410 r.

## Zjazd rodzinny i Związek Tarnowskich

Druga Wojna Światowa rozproszyła rodzinę Tarnowskich po całym świecie. W latach 90. po zmianach ustrojowych, kiedy można już było przyjeżdżać do Polski bez ograniczeń, coraz częstsze się stały wielkie zjazdy rodzinne. W 1996 roku, dzięki inicjatywie Jana A, Tarnowskiego, zwanego „Głową” ponad stu członków rodziny Tarnowskich po raz pierwszy od czasów wojny

zjechało się do Dzikowa. Wtedy powstał pomysł utworzenia rodzinnego stowarzyszenia czyli Związku Rodu Tarnowskich. Projekt stworzenia związku powierzono mieszkającemu w Ottawie najmłodszemu synowi Artura Tarnowskiego – Pawłowi. Związek został oficjalnie zarejestrowany w Sądzie Wojewódzkim w Warszawie w 1998 r. Paweł Tarnowski pełnił funkcję prezesa. Jego brat, średni syn Artura Tarnowskiego – Marcin, zajmował się genealogią.

Powstała strona internetowa: [www.rod tarnowski.com](http://www.rod tarnowski.com), pomaga w utrwalaniu i nawiązywaniu kontaktów rodzinnych. Głównymi celami Związku, o czym informuje statut, są m.in.: *utrzymywanie i wzmacnianie więzów rodzinnych, zachowywanie i przekazywanie następnym pokoleniom tradycji, dziedzictwa kulturowego oraz wartości, którym Ród Tarnowskich był zawsze wierny, popieranie i organizowanie działalności dla dobra Rodziny i Polski, pomoc członkom Rodziny w potrzebie, popieranie, stosownie do możliwości finansowych jak i wszelkich innych, wydawania pamiątek rodzinnych o wartości kulturalnej lub historycznej, opiekowanie się dziedzictwem kulturowym, historycznym oraz artystycznym Rodu Tarnowskich herbu Leliwa.*

Związek wydaje Biuletyn, w którym zamieszczane są zarówno informacje historyczno-genealogiczne, jak i współczesne oraz informacje o ważnych wydarzeniach rodzinnych i działalności

Związku. Związek otacza opieką młodych przedstawicieli rodu, zdolnym funduje stypendia, organizuje wyjazdy zagraniczne, pobyty w różnych miejscach w celu poznania się, a także opiekuje się seniorami, którzy potrzebują pomocy.

Powodzenie pierwszego zjazdu i 4 lata później następnym razem zbliżenie się znów członków rodziny, potwierdziło że lata wojny, komuny i emigracji nie zniszczyły naszego ducha, i że tak jak dawniej nasi przodkowie, my też, gdziekolwiek żyjemy, gotowi jesteśmy sięgnąć ponownie do gwiazd..

Marcin J. Tarnowski



Zjazd rodu Tarnowskich w Dzikowie w 2003 roku.

**Opowieść Marcina Tarnowskiego (1935-2009) o swoim życiu na emigracji, rodzinie i rodzinnych wartościach ukaze się w środę, 11 stycznia 2017 r.**

---

# Kalendarz staropolski



Biblioteka Działyńskich w Kórniku.

**Maria Wichowa**

O kalendarzu

Kalendarz, który czasem swe wyznacza biegi,  
części roku wymierza, gwiazd liczy szeregi,  
i który w swoich wszystko granicach osadza,  
niby Feniks z popiołów, co rok się odradza.  
Ciągłym idąc porządkiem, od roku do roku,  
bada się z gwiazd obrotów nowego wyroku,  
co się dziać na powietrzu ma, wcześniej znać daje,

powodzie, grady, grzmoty, wróżby, urodzaje,  
któremu czy kto wierzy, czyli jawnie przeczy  
zarówno zwykł przyjmować te obydwie rzeczy,  
chce tylko być użytym w swej każdymu porze,  
wszak służy prostym, możliwym, w chacie i na dworze.

(Kalendarz Polski i Ruski na Rok Pański  
1878)

Wyraz *kalendarz* pochodzi od łac. *calendarium* (spis dni w roku z podziałem na miesiące). Zaś słowo *calendae* oznaczające pierwszy dzień miesiąca dało podstawę nazwy gatunku literackiego. Istniało także określenie *fasti*, pojawia się ono jako tytuł dzieła Owidiusza, zawierającego kalendarz mitologiczny. W języku potocznym słowo *kalendarz* oznaczało po prostu książkę zawierającą wykaz dni, miesięcy, świąt przypadających w ciągu określonego roku, sporządzony według prawa lub zwyczajowo obowiązującego systemu rachuby czasu.

Kalendarz był książką o charakterze użytkowym, praktycznym. W dobie starożytnej w kalendarzowych spisach dni notowane były

dni urodzin cesarzy, zebrań senatorów, wykazy wyższych urzędników rzymskich, spisy świąt, uroczystości, ważne fakty historyczne. Także w wiekach średnich kalendarze układane przez chrześcijańskich duchownych, oprócz wyliczonych z wieloletnim wyprzedzeniem terminów świąt wielkanocnych zawierały różne wiadomości użyteczne i praktyczne, np. katalogi świętych, ich żywoty, z biegiem czasu dołączono informacje z życia Kościoła i ważne wiadomości państwowe. Najstarszy zaś kalendarz i zarazem najstarszy druk, który ukazał się na ziemiach polskich to *Almanach* na rok 1474, w języku łacińskim. Wyszedł w tłoczni Kaspra Straubego w Krakowie, prawdopodobnie w końcu 1473 r. W początku XVI w. pojawiły się tego typu druki polskie książki te stały się jedną z najbardziej dostępnych postaci literatury popularnej i tuż po Biblii i elementarzu zajmowały poczesne miejsce w bibliotece przeciętnego szlacheckiego dworu.

Wraz z wynalezieniem druku kalendarz uległ silnemu przeobrażeniu i rozbudowaniu. Do rachuby czasu dołączono przepowiednie astrologiczne dotyczące urodzaju w nadchodzącym roku, zdrowia czy choroby, dni pomyślnych i feralnych, pokoju lub wojny, pogody, terminy prac gospodarskich określane na podstawie położenia planet, nawet porady odnoszące się do terminów leczenia poprzez puszczanie krwi, strzyżenia włosów. Prognostyki astrologiczne cieszyły się wielką popularnością czytelników kalendarzy – najbardziej masowej

książki rozpowszechnionej w dworach szlacheckich. Z biegiem czasu nastąpiły kolejne zmiany, rozszerzenie tematyki tych publikacji. Pojawiają się informacje historyczne, geograficzne i polityczne ujęte w postać wykładu popularnonaukowego, wreszcie kształtują się kalendarze „specjalistyczne”, np. kalendarz jezuicki, kalendarz polityczny, kalendarz gospodarski itp. W dobie bujnego rozkwitu tego typu publikacji w czasach saskich triumfy święcił kalendarz astrologiczno-prognostykarski. O zawartości tych wydawnictw ulotnych, po roku zużytych i nieaktualnych, przynajmniej w części zawierającej rachubę czasu, informuje wiersz zamieszczony w *Kalendarzu Polskim i Ruskim na Rok Pański 1878*:



Karta tytułowa kalendarzyka krakowskiego z r.  
1569.

Publikacje te, jako pierwsza masowa książka w Rzeczypospolitej szlacheckiej stanowią znakomity dokument kultury potocznej doby staropolskiej, w tym również kultury literackiej. „Bez kalendarzy ludzka społeczność obejść się nie może” czytamy w *Kalendarzu Austrofila Krakowskiego na rok 1772*. Rzeczywiście kalendarz był książką podręczną, używaną prawie codziennie, szczególnie w XVII i w XVIII w. w Polsce odgrywał rolę przewodnika życiowego szlachty, a nawet magnatów i

duchownych. Był także księgą mądrości dla mieszczan i chłopów, ważnym źródłem wiedzy o świecie dla czytelników. Dla nas dzisiaj, po wiekach jest cennym komunikatem o rzeczywistości, którą opisywał i utrwalał.



Biblioteka Muzeum  
Przypkowskich w  
Jędrzejowie.

Kalendarze zawierały mnóstwo tekstów o charakterze użytkowym, np. przepisy kulinarne, recepty na domowe leki, porady lekarskie i weterynaryjne, porady kosmetyczne. Obok założeń praktycznych miały też cele ludyczne – dostarczanie

czytelnikowi rozrywki, przede wszystkim rozrywki literackiej. Pojawiały się w kalendarzach zagadki, przysłowia, kalambury, paronomazje, wierszyki okolicznościowe, np. z powinszowaniami, panegiryki, utwory hagiograficzne, wiersze o tematyce historyczne, kilka odmian prognostyków, kolędy. Kolędy pojawiające się w kalendarzach bardzo różniły się od dzisiejszych pieśni bożonarodzeniowych. W dobie staropolskiej określano je jako kantyki, kantyczki, symfonie, rotuły, pieśni. Natomiast nazwa kolęda obejmowała wówczas utwory zawierające życzenia na Nowy Rok. Ten typ utworu reprezentuje *Kolęda na Nowe Lato* Jana Kochanowskiego, a podobnych wierszy drukowano bardzo dużo w omawianych periodykach. Wyraz „kolęda” w kalendarzach występował w jeszcze jednym znaczeniu, mianowicie jako książka – podarunek na Nowy Rok, o czym świadczy *Kolęda Warszawska*, wydawana przez Antoniego Wiśniewskiego od 1752 r. *Kolęda* podawała szereg najróżniejszych wiadomości o sprawach bieżących krajowych i zagranicznych, informacje o badaniach z zakresu fizyki, astronomii itp.

Autorzy kalendarzy informowali o wszelkiego rodzaju mirabiliach, gdyż był na te wiadomości olbrzymi popyt. Zainteresowanie osobliwościami przyrody, niezwykłymi wydarzeniami, sensacjami, cudownościami, magią, astrologią było charakterystyczne dla kultury staropolskiej, stąd autorzy kalendarzy w obfitości dostarczali tej strawy duchowej

czytelnikom, złąknionym ciekawostek, informacji o zjawiskach nadprzyrodzonych, trudnych do odgadnięcia przez ludzki umysł, np. odpowiedzi na pytania: skąd pochodzi przeraźliwe ciepło i ból gwałtowny w głowie, po długiej pracy rozumu?, czyli dobre wynikają skutki z natężonych prac rozumu? Wierzono, że „Małgorzata, żona hrabi Wierzbosława w krakowskim, jednym razem 36 synów powiła”. Czasem nabierano do owych osobliwości dystansu, przedstawiano je w formie literackiej zabawy, wydobywając na plan pierwszy elementy żartu, pokazywanie „świat na opak”.

Dziwy, dziwy, wielkie dziwy

Dom z małżeństwem nie swanliwy,

Bogacz nad ubóstwem tkliwy,

Krewny krewnemu życzliwy

Fanatyk nie podejrzliwy

Mędrzec, bigot nie mrukliwy

Wierszopis nie uszczypliwy,

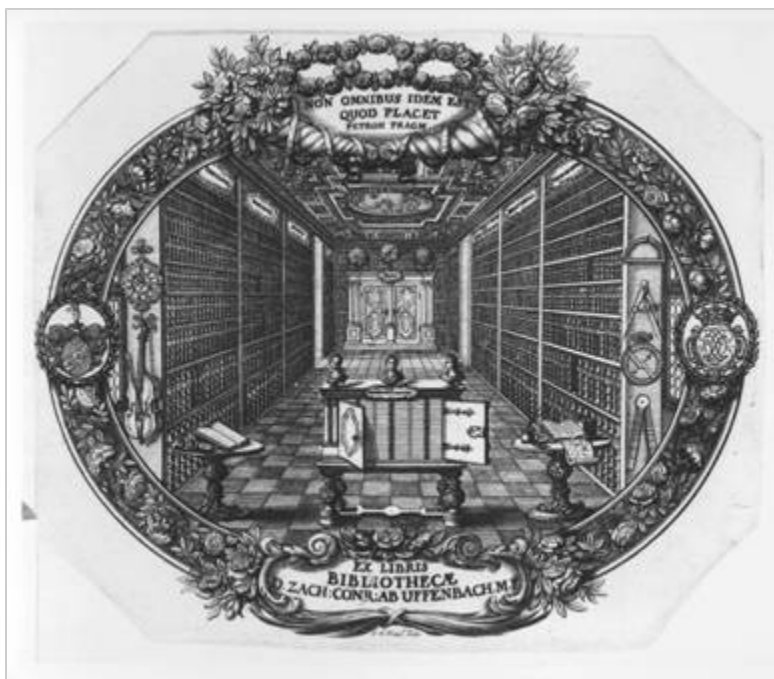
żołnierz trzeźwy, wstrzemięźliwy,

Kapłan o kościół gorliwy,  
Mnich do pracy nie leniwy  
Doktor o życie troskliwy,  
Warchoł, pieniacz nie zdrażliwy,  
Szalbierz, koster a cnotliwy,  
Próżniak, włóczęga pocziwy  
Dziwy! dziwy! wielkie dziwy.

Przedstawiona wizja świata pochodzi z roku 1804, doszedł tu do głosu w żartobliwej formie krytycyzm oświeceniowy, a także tradycja sowizdrzalska. Wierszyk przypomina powszechnie znany *Wstęp do bajek* I. Krasickiego i kompozycji w wymowie.

Bardzo rozpowszechnione były kalendarze gospodarskie, zawierające dużo praktycznych porad rolniczych, popularyzację najnowszej wiedzy z tej dziedziny. Pierwsze takie kalendarze powstały już w starożytności, prototyp kalendarza gospodarskiego pojawił się w dziele Palladiusza. Już w XVII w.

wyodrębniła się ta grupa kalendarzy w Polsce. W 1616 r. powstało dzieło Teodora Zawackiego *Pamięć robót i dozoru gospodarskiego w każdym miesiącu*, w 1618 r. ogłosił Stanisław Słupski *Zabawy orackie*, stanowiące załączek kalendarza wierszowanego. W rękopisie pozostał kalendarz gospodarski Jana Ostroroga z przełomu XVI i XVII w., drukowany dopiero w r. 1876. Jest to dzieło w najwyższym stopniu oryginalne, owoc doświadczenia autora – wzorowego rolnika, magnata – właściciela pięknego majątku Komarno, w zakresie organizacji, dozoru i ekonomiki prac na folwarku. Zarazem to poradnik dla służby, dla potomków i dla sąsiadów. Prezentuje bardzo wysoki poziom wiedzy rolniczej. Na każdej stronicy dziełka rzuca się w oczy praktycyzm, utylitaryzm pisarza – doświadczonego gospodarza. Dzieło odznacza się wysokim poziomem literackim.



Wnętrze biblioteki z końca XVII w.,

miedzioryt wykonany przez  
miedziorytnika augsburskiego  
Johanna Ullricha Krausa, ze  
zbiorów Biblioteki Narodowej w  
Warszawie.

Kalendarz był zatem środkiem komunikacji społecznej, trybuną z której głoszono spopularyzowaną wiedzę naukową, np. rolniczą, historyczną, medyczną itp. Wykazuje on podobieństwo do sylw szlacheckich, które istotnie zawierały las rzeczy (*silva rerum*). Autorzy owych ksiąg zamieszczali teksty literackie obok porad praktycznych, mów sejmowych, pamflety, odpisy nowin, anegdoty, czasem niecenzuralne fraszki, a także wiersze polityczne, okolicznościowe, dokumenty itp. Kalendarz to swego rodzaju drukowana sylwa, opracowywana corocznie, prezentująca myślenie potoczne. To także medium, środek przekazu kształtujący opinię publiczną, gusty czytelnicze, w tym i upodobania literackie, ale zarazem wychodzący naprzeciw oczekiwaniom przeciętnego odbiorcy. Gdy idzie o popularyzację wiedzy, dawne kalendarze dobrze się zasłużyły. Opracowywali je autorzy o dużych kompetencjach naukowych, często profesorowie wyższych uczelni. Od 1518 r. dominowały na rynku wydawniczym kalendarze krakowskie, ale od połowy XVII w. zaczęli ogłaszać swe dzieła również profesorowie Akademii Zamojskiej. W Zamościu w l. 1671-1699 drukował kalendarze

Stanisław Niewieski, od 1690 do 1724 r. publikował je lekarz Akademii Tomasz Ormiński, zaś najpopularniejszym twórcą kalendarzy XVIII w. był Stanisław Duńczewski, doktor filozofii i prawa, profesor matematyki Akademii Zamojskiej. W tym samym czasie potęgą na kalendarzowym rynku wydawniczym była Akademia Krakowska, której profesorowie: Jan Józef Przypkowski, Ignacy Paweł Michałowski, Antoni Mikołaj Krzanowski, Józef Grzegorz Więczkiewicz skutecznie konkurowali z profesorami zamojskimi. Obok kalendarzy akademickich drugą wielką grupę stanowiły kalendarze wydawane przez zgromadzenia zakonne, szczególnie przez jezuitów i pijarów.

Pod koniec XVIII stulecia kalendarze stały się narzędziami oświeceniowej edukacji społeczeństwa, popularyzacji nowoczesnej wiedzy, skutecznym sposobem wydobywania z zacofania umysłowego sarmackiej prowincji.

---

# Staropolskie kuligi i szlichtady



**Teresa Fabjańska-Żurawska**

Były te zabawy nie tylko w stolicy, lecz po całym kraju naszym od niepamiętnych zapewne przed Sobieskim, czasów. Trwały pokąd jeszcze błogie za Stanisława Augusta

służyły chwile. Tak więc u przywódcy swojego zbierała się młodzież, przesadzając się na kształtny zaprzęg, saneczki, dobrze ubranych ludzi. Muzyka była na zawołaniu. Ruszano w dom najpierwszy, gdzie dużo było dziewcząt, albo je sproszo z powinszowaniem świąt szczęśliwych. Zmrokiem przyjechać kazał obyczaj, przy świetle kagańców i pochodni, lśniły się brylantami okolice całe i lasy nastrzępione śniegiem lub srebrem oblane, skrzypiały przemykając się lekko sanice, odzywał się z dala tętent koni, jak gdyby szwadron jazdy był w pełnym pochodzie; brzęk dzwonków różnogłośnych i kólek nawieszanych, odgłos muzyki, w takt odzywające się trzaskania biczem zręcznych powozicieli, okrzyki wesołych już się dawały słyszeć, gdy tylko co na wieś wjeżdżali; tak z powiększającym się coraz szumem i hukiem w otwartą wpadano bramę i zajeżdżano przed mieszkanie gospodarza. Wychodził ku swym gościom, witał uprzejmie, wprowadzał, gdzie czekała żona i dziewice już do tańca postrojone. Po wstępnych grzecznościach i pozdrowieniach, ożywiała się coraz bardziej rozmowa, częstowano ochoczo i ludziom i koniom rad był gospodarz i miejsca obmyślił. Zaczynały się tańce. Doczekano się tym sposobem na gwałt przyrządzonej, obfitej wieczerzy, po której znowu następowały płasy, śpiewy do białego dnia nieraz, spoczynek utrudzonych nareszcie bez wytworności przyjęty, gdzie i jak można było.

Tak opisywał staropolskie zabawy karnawałowe, zwane u nas kuligami, wielki historyk obyczajów polskich - Łukasz Gołębiowski (1773-1849) w swej książce „Gry i zabawy różnych stanów” wyd. w Warszawie w 1831 r.



Kulig na starej rycinie.



Kuldig na starej rycinie.

Kuldig taki, coraz to liczniejszych mający uczestników, wędrował od dworu do dworu popasając, bawiąc się i goszcząc nieraz i po kilka dni. Była to okazja do odwiedzin rodzinnych, do poznania się młodych i do wielu radości, popisów uciech i psot. Nade wszystko była to okazja do błysnięcia dowcipem i dobrym pomysłem na saneczki, które musiały być niezwykle. Rzeźbiono więc sanie w kształcie niedźwiedzia, jelenia, konia koguta, łabędzia, lwa, muszli i fantastycznych stworów. Nieraz były to całe kompozycje wielofiguralne, głowy murzynka na rufie albo ptaka rajskiego, papugi, węża itp. Nawet w największym tłoku każdy łatwo rozpoznawał swoje sanie. Po leśnych, wąskich drogach pędziły zaprzęgi jednokonne. Zazwyczaj dama siedziała w saniach opatulona baranicą i kapłonim zarękawkim (mufką z piór kogucich), a mężczyzna powoził z tylnego koziołka.

Obejmując damę serca chronił ją swymi ramionami, szepcząc czułe słówka prosto do ucha.

Sznur saneczek mknął raźnie i szybko. Towarzyszyła saniom młodzież na koniach z pochodniami w ręku, rozświetlając ciemności i płosząc liczną, leśną zwierzynę.

Innego rodzaju zabawą karnawałową były szlichtady, które organizowano na dworach panujących możnych. Te odbywały się zwykle w pobliżu rezydencji królewskiej lub na placach i ulicach dużych miast. Był to spektakl z udziałem licznych widzów, mieszkańców miast, rodzaj teatru na wolnym powietrzu. Na oczach gapiów przesuwiał się cały korowód wymyślnie rzeźbionych i złoconych saneczek, bardzo bogato zdobionych malowidełkami, na których widoczne były sceny z życia dworu, mityczne boginie, amorki, krajobrazy. Specjalnie dobierani młodzi chłopcy, zwani biegunami, nadawali tempo jednokonnym zaprzęgom. Przebrani w stroje dworskie, często dworu hiszpańskiego, wyglądali teatralnie w swoich pluderkach, białych pończochach, obcisłych żakiecikach i czapeczkach z piórami strusimi. W ręku trzymali baty – knuty do popędzania koni. Szlichtada nie była jedynie przejażdżką saniami. Był to rodzaj konkursu na najpiękniejsze sanie, na najwspanialszego konia i uprzęż, która do tak ozdobnych sań też musiała być odpowiednio bogata, haftowana srebrem i złotem, naszywana małymi, kulistymi dzwoneczkami, które dawały piękną gamę dźwięków.

Konkurs polegał również na zręczności w powożeniu. Stawiano np. manekiny i trzeba było tak blisko podjechać, by tego słomianego luda dźwignąć specjalną, krótką laną trzymaną przez damę. Była to zręczność niemała, toteż dla zwycięzców przygotowywano nagrody. Zabawy te popularne były w XVII i XVIII w. również w Polsce, czego dowodem są zachowane do dzisiaj przepiękne okazy saneczek. W Muzeum Czartoryskich w Krakowie np. eksponowane są sanki szlichtadowe z rzeźbą bogini Diany na łowach, a bogini ta ubrana jest w strój polskiej szlachcianki. W pałacu w Nieborowie można zobaczyć kilka różnorodnych saneczek, a jedne szczególnie cieszą oko widza wizerunkiem głowy pijaka. W Powozowni Zamkowej w Łańcucie stoją sanie w kształcie hipokamposa, pół konia, pół ryby ze złotą łuską.



Kulig na starej rycinie.



Kulig na starej rycinie.

Do 1944 roku w Paradnej Szorowni w Łańcucie stały przepiękne

złote saneczki, w kształcie muszli, z której wyrastało bóstwo morskie – grubiutki, mały Tryton, grający na rogu-muszli. Płozy, wsporniki i tył saneczek był rzeźbiony w ornamenty z gałązek i girland. Saneczki te uważano za własność królowej Francji, Marii Antoniny. Do Łańcuta przyjechały z Paryża, jako część spadku po Mikołaju Potockim z linii tulczyńskiej, który umierając bezpotomnie w 1921 roku, zapisał majątek swojemu krewnemu, Alfredowi hr Potockiemu. Jako cenny obiekt, Mikołaj hr Potocki użyczył ich na światową wystawę środków transportu w Paryżu, która miała miejsce w 1900 roku. W Łańcucie również zajmowały honorowe miejsce i były podziwiane przez gości rezydencji łańcuckiej: koronowane głowy Europy, arystokrację, dyplomatów, osobistości i rodzinę. Wywiezione w 1944 roku, do dzisiaj się nie odnalazły.

Z końcem XVIII wieku znikły szlichtady dworskie, ale zwyczaj kuligów niższych warstw społecznych, a szczególnie w Polsce lubiany i kultywowany, utrzymał się bardzo długo. Nawet i teraz jeszcze czasem organizuje się te zimowe zabawy w śnieżną, mroźną zimę. Oczywiście nie mają one charakteru masowego i są ograniczone do przejażdżki po zaśnieżonym terenie wiejskim. Obyczaje te wspominamy dzisiaj z pewną nostalgią.



Kulig, rys. Wrzesław Żurawski.

---

Co dalej z karetami  
króla Jana III  
Sobieskiego?



Wystawa „W purpurze i złocie. Karety paradne króla Jana III Sobieskiego” w Wozowni przy pałacu w Pszczynie, fot. Wrzesław Żurawski.

## Wrzesław Żurawski

Wiosną 1980 r. media zainteresowały się opracowaniem dziejów ambony z Radacza koło Szczecinka przez Teresę Fabijańską-Żurawską, kustosz Muzeum-Zamku w Łańcucie, zajmującą się historią pojazdów konnych. W „Spotkaniach z Zabytkami” ukazał się obszerny artykuł na ten temat (Teresa i Wrzesław Żurawscy, *Karety Jana III Sobieskiego*, nr 1, 1983, s. 47-50). Ambona od

zawsze była owiana legendą, jakoby kiedyś była wozem tryumfalnym Jana III Sobieskiego, otrzymanym po wiktorii wiedeńskiej od wdzięcznego cesarza Leopolda I. Badania samego obiektu oraz wielu źródeł historycznych wykazały, że wdzięczności cesarskiej nie było, natomiast ambona składa się z elementów trzech karet zrabowanych w Oławie rodzinie Jakuba Sobieskiego. Dokonał tego w 1741 r. pruski generał Alexander von Kleist, po czym zafundował w swym protestanckim kościółku kolatorskim w Raddatz ambone, nie ukrywając, że wiąże się ona z osobą Jana III. Szczęśliwie przetrwała liczne wojny. Po 1945 r. zdemontowana, przechowywana w Szczecinku, trafiła po 1960 r. do Wilanowa.

Muzeum Narodowe w Warszawie, do którego należał wówczas Wilanów, wysłało ambone w depozyt do Muzeum Pomorza Środkowego w Słupsku, gdzie była eksponowana od 1966 do 1983 r. Fragmenty zespołu ambony nadal pozostawały w Wilanowie.



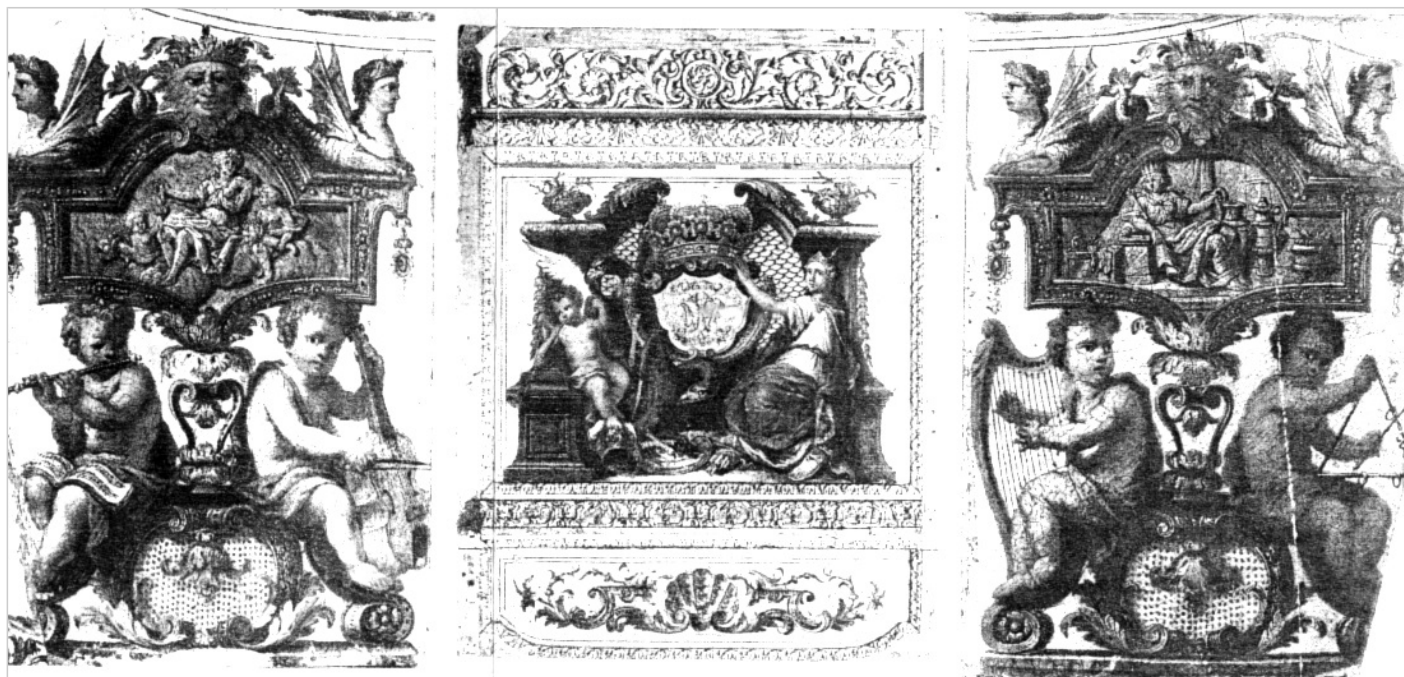
Fragment malowidła na  
drzwiach karety paradnej.

Teresa Fabijańska-Żurawska musiała długo przekonywać, że ambonę wykonano z elementów nadwozi trzech karet królewskich i należy podjąć próbę ich rekonstrukcji. Zainspirowany tymi ustaleniami zebrałem materiał fotograficzny i rysunkowy w czasie pobytu w Muzeum Karet w Lizbonie w 1981 r. i wykonałem inwentaryzację jednej z karet francuskich z drugiej połowy XVII w. w tamtejszych zbiorach. Prace badawcze kontynuowałem w Lizbonie podczas dziewięciomiesięcznego stypendium Fundacji Calouste'a Gulbenkiana w latach 1982-1983. Przygotowania te pozwoliły na pierwszy etap

prezentacji elementów karet w ramach wystawy „Chwała i sława Jana III Sobieskiego” w Pałacu Wilanowskim jesienią 1983 r. Ambona została przywieziona ze Słupska do Wilanowa i rozebrana. Złożone rzeźby, listwy i płyciny z dekoracją malarską były eksponowane na tle dużej sylwetki karety w konfiguracji wskazującej ich pierwotne położenie. Teza, że mamy elementy z trzech karet obroniła się.

Na odwrocie jednej z płycin snycerowanych pozostała data „1692 *Die 23 January*” wskazująca, że karety pochodziły z ostatniego okresu życia króla Jana, a program ikonograficzny przedstawień malarskich wyraźnie miał przekonać oglądających do właściwego wyboru następcy tronu, czyli królewskiego syna Jakuba Sobieskiego. Wszystkie trzy karety były pojazdami paradnymi i występowały zapewne razem przy większych okazjach. Jedna z nich, mogąca pochodzić z warsztatu gdańskiego, została roboczo nazwana Tryumfalną. Przedstawienia malarskie, takie jak panoplia oraz postać Herkulesa walczącego z hydrą lernejską, głoszą chwałę zwycięzcy. Druga kareta, nazwana roboczo Osobistą Króla Jana III, niesie opowieść o narodzinach i młodości Herkulesa z użyciem motywu tarczy będącej godłem herbu Sobieskich – Janina. Trzecia, bardzo podobna kareta, nazwana Osobistą Królowej Marii Kazimiery, ma monogramy królowej. Karety osobiste króla i królowej były wykonane przez rzemieślników francuskich, na co wskazują napisy. Dekorację malarską mógł jednak wykonać pracujący dla Sobieskich Jerzy

Eleuter Siemiginowski.

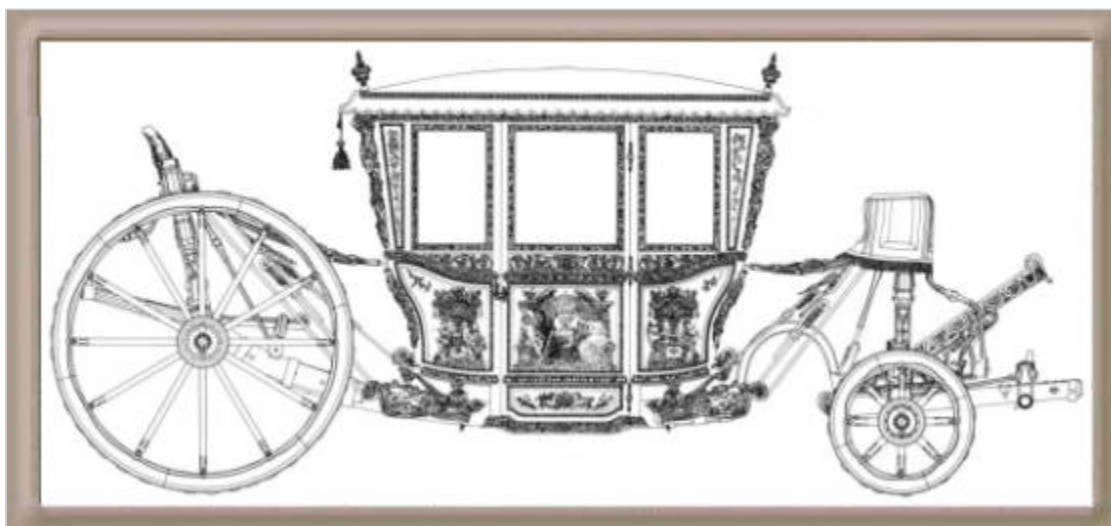


Malowidła na drzwiach karety królowej Marysieńki.

Po wystawie w 1983 r. ambona z Radacza odeszła w niepamięć, pozostały trzy grupy wstępnie posegregowanych elementów, skrzętnie złożonych w magazynach Wilanowa. Pracownicy Warszawskiego Przedsiębiorstwa Geodezyjnego wykonali społecznie inwentaryzację fotogrametryczną wszystkich elementów.

Minęło 20 lat. Zbliżała się kolejna rocznica wiktorii wiedeńskiej, przypadająca jesienią 2003 r. Pałac w Wilanowie był już niezależnym muzeum i kolejny nowy dyrektor pan Paweł Jaskanis postanowił wskrzesić temat karet Jana III. Zdecydowano, że

najlepiej będzie, jeżeli zachowane elementy zostaną wbudowane w odtworzone konstrukcje nadwozi i w ten sposób znajdą się w swojej dawnej roli. Na zlecenie Muzeum Pałacu w Wilanowie zrobiłem szczegółowe opracowanie z numeracją wszystkich zachowanych elementów i określeniem ich funkcji. Równocześnie wykonałem projekt rekonstrukcji nadwozi trzech karet. Trzeba tu podkreślić, że zachowały się jedynie elementy z trzech nadwozi (pudeł) karet, natomiast o podwoziach możemy mieć bogate wyobrażenie na podstawie kilku karet z drugiej połowy XVII w., znajdujących się w zbiorach muzealnych za granicą.



Rekonstrukcja karety paradnej, rys. W. Żurawski.

W Wilanowie ruszyły szybko prace konserwatorskie przygotowujące zabytkowe obiekty do ich montażu w odtworzonych konstrukcjach szkieletowych. Szkielety pudeł karet oraz częściową rekonstrukcję snycerki wykonała firma Art Reno z Zabrze. Efekt tego wysiłku został zaprezentowany na

wystawie, która trwała w Oranżerii wilanowskiej do 2004 r. Została też wydana przez Muzeum Pałac w Wilanowie książka Teresy Fabijańskiej – Żurawskiej *Królewskie karety Jana III Sobieskiego*. Niestety, do dziś zabrakło czasu na zakończenie wszystkich objętych projektem czynności konserwatorskich i rekonstrukcyjnych. Niektóre drobne elementy pozostają nadal w magazynie. Wilanów z braku miejsca na stałą ekspozycję nadwozi karet królewskich zmusza je do peregrynacji po innych muzeach. Obecnie znalazły się w Wozowni przy pałacu w Pszczynie w postaci wystawy „W purpurze i złocie. Karety paradne króla Jana III Sobieskiego”.

Już od ogłoszenia badań nad amboną z Radacza w 1980 r. różni entuzjaści chcieliby zobaczyć przynajmniej jedną z karet w całości na kołach, w zaprzęgu, na ulicach Warszawy. Nasza wiedza pozwala na daleko posuniętą rekonstrukcję samych nadwozi karet w celu ich wyłącznej funkcji muzealnej. Ten etap, mam nadzieję, uda się zakończyć i pokazać na stałej ekspozycji w Wilanowie, bo tu były używane, by służyć utrzymaniu prestiżu króla i jego walce o sukcesję tronu dla syna.

Rekonstrukcja całych karet z podwoziami byłaby już działaniem pozamuzealnym. Składałaby się z kopii oryginalnych zachowanych części i byłaby uzupełniona rekonstrukcją kreatywną, na podstawie porównań ze znanymi nam karetami francuskimi z końca XVII w. Zachowały się projekty karet

robione przez czołowych francuskich architektów dla Ludwika XIV. Są też obrazy przedstawiające uroczystości z udziałem karet. Na nasze szczęście wymiary karet w tamtym czasie, rozwiązania konstrukcyjne i wielkości kół były prawie identyczne. Cechą epoki baroku było zawsze jednak dążenie artystów do stworzenia niepowtarzalnej dekoracji rzeźbiarskiej i malarskiej pod względem kompozycji, detalu i treści. Dekoracja ta była zarówno na nadwoziach, jak i na podwoziach, bogato rzeźbiono tylne kozły, czyli ramy zawieszenia. Rekonstrukcja całych karet zmuszałaby więc do twórczego rozwinięcia symboliki stosowanej w końcu XVII w., by karety mówiły językiem epoki.

*„Spotkania z zabytkami”, 9-10, wrzesień-październik 2016,  
s.11-12.*

---

# Dwór,

w którym zaklęta jest  
historia



Tułowice. Oczekiwanie na Wigilię, fot. arch. A. Novák-Zemplińskiego

**Z malarzem Andrzejem Novák-Zemplińskim, o dworze w Tułowicach, rodzinnych tradycjach i artystycznej pasji - rozmawia Joanna Sokołowska-Gwizdka.**

**Joanna Sokołowska-Gwizdka:** Jako malarz zadebiutował Pan w spektakularny sposób. Jest rok 1975 i Mistrzostwa Europy w Powożeniu Zaprzęgami Czterokonnymi w Sopocie. Przyjeżdża wielu, wywodzących się z dawnych ziemian, dyrektorów stadnin ogierów. W imprezie bierze udział tak utytułowana osoba, jak książę Filip, mąż brytyjskiej królowej Elżbiety II. Konkursowi towarzyszy wystawa obrazów czołowych polskich malarzy, ze zbiorów narodowych w Biurze Wystaw Artystycznych. Pan, wówczas jeszcze student Warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych, przyjeżdża na Mistrzostwa, aby malować konie i przywozi trzy swoje obrazy, które wzbudzają duże zainteresowanie. Jak z perspektywy czasu wspomina Pan swój debiut jako malarza koni?

**Andrzej Novák-Zempliński:** Wtedy już krystalizowały się moje zainteresowania tematyczne – choć byłem jeszcze pod wpływem akademii i stąd próby usprawiedliwienia się wobec współczesności. Dlatego te pierwsze prezentowane obrazy z

końmi były w bardzo syntetycznej formie i w prawie abstrakcyjnej przestrzeni. Były to trzy ujęcia koni widzianych z kozła – czwórka gniada, kara i siwa. Rzeczywiście obrazy te wzbudziły spore zainteresowanie, jeden z nich trafił na okładkę magazynu „Koń Polski”. Wcześniej, na dorocznej wystawie w Akademii, ten właśnie obraz zdecydowanie bulwersował – konie na Akademii? – to prawie bezczelność. Byłem wprawdzie studentem profesorów Michała Byliny i Ludwika Maciąga, co by mogło takie wybory tłumaczyć, ale bez przesady, na uczelni obowiązywały zupełnie inne trendy. Zacząłem więc płynąć pod prąd.

**JSG:** Skąd u Pana zainteresowanie malarstwem tradycyjnym?

**ANZ:** Zawsze fascynowała mnie sztuka dawna i jej weryfikowalny poziom warsztatowy, finezja operowania kolorem i formą. Z racji moich końskich pasji, szczególnie interesowała mnie sztuka związana z tematyką hippologiczną, batalistyką i łowiectwem, reprezentowana przez naprawdę wielkich twórców, ale też przez tych mniejszych, również z kręgu prymitywistów, mieszczących się w nurcie określanym w Europie zachodniej jako *sporting art*. Ten nurt żyje nadal nie bardzo przejmując się tym, co się dzieje w galeriach sztuki nowoczesnej Nowego Jorku, Paryża czy Londynu – ma swoje galerie, wystawy i wierny krąg odbiorców.



Andrzej Novák-Zempliński. Autoportret, fot. Marcin Sokołowski

**JSG:** Jaka grupa odbiorców jest zainteresowana malarstwem w dawnym stylu?

**ANZ:** Odbiorcami są przede wszystkim miłośnicy koni, hodowcy, sportsmeni, ale również zwolennicy tradycyjnych form sztuki, dla których nie pozostają one zamkniętymi rozdziałami i zasługują na kontynuację. Wśród moich odbiorców dominowali oczywiście hodowcy i właściciele koni, często bardzo wybitni i powszechnie

znani, głównie z USA. Dlatego najwięcej moich obrazów pozostaje w Ameryce.

**JSG:** Jak zapatrują się krytycy na bycie wiernym dawnym technikom i tematom?

**ANZ:** Krytyka raczej tym się dziś nie zajmuje. Jest częścią dość skomplikowanego, współczesnego rynku sztuki i jej zadaniem jest ocena nowych trendów z oczywistymi „intelektualnymi przewagami”. Raczej boczy się na takie zjawiska, jak powroty do tradycyjnych form warsztatowych, uważając, że za tym stoją komercyjne motywacje. Tak też uważa wielu moich kolegów ze studiów, którzy poświęcili się sztuce „prawdziwej”. Ja, na szczęście, nie muszę tłumaczyć, o co chodzi w moich obrazach i wsparcie krytyki nie jest do istnienia mojej sztuki niezbędne. Staram się być wierny sobie i raz wytyczonej drodze, która stanowi dość spójną całość z życiem rodzinnym, pasjami i aktywnością społeczną.



Andrzej Novák-Zempliński w bibliotece w Tułowicach, fot.  
Marcin Sokołowski

**JSG:** Proszę opowiedzieć o Pana rodzinnych tradycjach  
ziemiańskich i podkrakowskich dworach.

**ANZ:** Mimo, że urodziłem się po wojnie, miałem jako dziecko szczęście poznać autentyczne życie polskiego dworu. Dwory w Glanowie i Tarnawie, w wyniku przedwojennej reformy rolnej, stały się resztówkami i stalinowski dekret je ominął, choć nie bez szykanów nowej władzy.

Domy te za życia moich stryjów żyły jak dawniej, a rytm tego życia określało funkcjonowanie gospodarstw rolnych. Pozostające od długiego czasu w rękach rodziny, wypełnione były pamiątkami wielu pokoleń i specyficznym klimatem tradycji właściwej siedzibom ziemiańskim. Tam spędzałem wakacje, najchętniej w stajni. Dziś w rękach moich braci stryjecznych pozostają już tylko domy z założeniami ogrodowymi. Dla mnie były zawsze wzorem rodzinnego gniazda.

**JSG:** Czy Pan i Pana żona Aleksandra, absolwenci warszawskiej ASP, szukali unikalnego, jak na owe czasy, miejsca do zamieszkania, czy też trafili Państwo na Tułowice przypadkiem i wtedy powstał pomysł, żeby tu stworzyć dom?

**ANZ:** Z Tułowicami nie było przypadku, ale zanim do tego doszło, był pomysł zamieszkania w rodzinnym Glanowie. Po śmierci stryja przez jakiś czas nie było pomysłu na dalszą egzystencję domu, stąd wyszła oferta z naszej strony – sytuacja jednak wkrótce zmieniła się, ale pomysł z osiedleniem się na wsi miał swoją kontynuację. Zaczęliśmy poszukiwać opuszczonego

obiekty zabytkowe do zagospodarowania w okolicach Warszawy. Takich obiektów było wiele w związku z ofertą tak zwanej Giełdy Zabytków. Nie była ona jednak w tamtym czasie adresowana do prywatnych inwestorów. W naszych poszukiwaniach trafiliśmy do Tułowic i one nas urzekły, mimo katastrofalnego stanu budynków i zaniedbanego ogrodu. Złożyliśmy ofertę kupna obiektu w miejscowej gminie – i zaczęło się. Negocjacje z „władzą ludową” trwały ponad trzy lata, gdyż w jej ocenie była to niecna próba restytucji życia dworskiego w fazie „budowy rozwiniętego społeczeństwa socjalistycznego”.



Dwór w Tułowicach dziś, fot. Marcin Sokołowski



Dwór w Tułowicach dziś, fot. Marcin Sokołowski



Dwór w Tułowicach dziś, fot. Marcin Sokołowski

**JSG:** Dwór w Tułowicach był wówczas w opłakanym stanie. Magazyn nawozów sztucznych i śmietnik, nie każdego zachęciłby do adaptacji niegdyś pięknego, klasycystycznego obiektu. Co Państwa najbardziej urzekło w tym miejscu?

**ANZ:** Urzekła nas przede wszystkim architektura domu, jego proporcje, rytm, harmonia, detal – doskonałe dzieło klasycyzmu w wydaniu niewielkiej wiejskiej rezydencji. Wszak przypisywane jest Hilaremu Szpilowskiemu, jednemu z czołowych architektów epoki. Otaczający dom kilkuhektarowy ogród dopełniał urodę

miejsca, choć jego zalety można było dostrzec jedynie oczyma wyobraźni. Na naszą decyzję wpłynęła też lokalizacja i dalsze otoczenie o wyjątkowych walorach historycznych i krajobrazowych – Brochów, Żelazowa Wola, Czerwińsk, dolina Bzury i Wisły oraz Puszcza Kampinoska. Obiekt nie był przesadnie wielki, wydawał się do ogarnięcia jako dom rodzinny oraz spokojne i ciche miejsce pracy.

**JSG:** Jaką wizję mieli Państwo odbudowując ten obiekt?

**ANZ:** W początkowej fazie naszych starań, wizja tego miejsca odnosiła się do prostej idei własnego domu. Natomiast następstwa kilkuletniej walki o uratowanie go od zagłady nadały tej idei znacznie szerszy wymiar – pewnego symbolu przetrwania, tak w sensie historycznym jak też kulturowym. Sytuacja jeszcze w dobie PRL-u uświadomiła nam, że chodzi o znacznie większą wartość, dlatego napotkaliśmy na taki opór władzy. Wszak był to pierwszy przypadek oferty kupna z zasobów skarbu państwa obiektu zabytkowego na cele prywatne. Mieliśmy jednak zdecydowanych sojuszników w tej walce, głównie w służbach konserwatorskich, ale też wielu przyjaciół, którzy wiernie nam kibicowali. Gdy opór władzy został w końcu przełamany i akt kupna sfinalizowany, stanęliśmy przed naprawdę poważnym zadaniem – odbudowy obiektu i tchnięcia w niego nowego życia. Koncepcja projektowa dojrzewała już od kilku lat wraz z wykonaniem inwentaryzacji, badań, kwerend

archiwalnych i kontaktów personalnych dla zebrania wyjściowego materiału historycznego oraz porównawczego. Ostateczna wizja dojrzywała równolegle z pracami budowlanymi, które zajęły kilkanaście lat.

**JSG:** Teraz dwór jest pełen przedmiotów, w których zakłeta jest historia. Proszę opowiedzieć, jak powstawały zbiory.

**ANZ:** Zbiory i wyposażenie domu było realizacją pewnych programów użytkowych, estetycznych i treściowych, jakie wykrystalizowały się w trakcie projektowania i budowy. Z założenia nie była to próba reanimacji historycznego obiektu, a raczej realizacja naszych potrzeb użytkowych i estetycznych, oczywiście z wielkim poszanowaniem dla historii, stylu i pierwotnego programu. Dlatego właśnie uzyskaliśmy efekt autentyzmu, bowiem nasz dom niczego nie udaje – jest domem żyjącym, z czytelnymi funkcjami poszczególnych pomieszczeń i dostosowanymi do nich programami estetycznymi oraz przekazem treści – historycznych, patriotycznych i tradycji rodzinnej. Były to jednak nasze wybory, wynikające z potrzeb, aspiracji i możliwości. Oczywiście tradycja dawnych domów rodzinnych, tych już nie istniejących jak w Parkoszu, Pieskowej Skale czy Gotkowicach i tych żyjących, w Glanowie i Tarnawie, znajduje tu swoją kontynuację.



Andrzej Novák-Zempliński w tułowickiej Powozowni, fot.  
Marcin Sokołowski



Powozownia w Tułowicach, fot. Marcin Sokołowski



Powozownia w Tułowicach, fot. Marcin Sokołowski



Powozownia w Tułowicach, fot. Marcin Sokołowski



Powozownia w Tułowicach, fot. Marcin Sokołowski



Powozownia w Tułowicach, fot. Marcin Sokołowski

**JSG:** Stworzył Pan też kolekcję pojazdów konnych. Kilka z posiadanych przez Pana pojazdów pochodzi z rodzinnych majątków. Jak Pan na nie trafił?

**ANZ:** Moje zainteresowanie pojazdami konnymi datuje się od czasu, gdy poznałem pana Zbigniewa Prusa-Niewiadomskiego, wybitnego znawcę przedmiotu. Przez niego zainspirowany, postanowiłem zabezpieczyć pojazdy, które pozostały w Glanowie i Tarnawie, już jako sprzęt bezużyteczny i zapomniany. Te pięć pojazdów stało się załączkiem przyszłej kolekcji. Pomysł na dalszy jej rozwój zrodził się wraz z Tułowicami i możliwością adaptacji do tego celu zrujnowanej dawnej stajni. Dziś liczy ona 24 pojazdy i jest unikatową w skali kraju, bowiem programowo gromadzi pojazdy związane z tradycją polskiego dworu.

**JSG:** Który z powozów uważa Pan za najciekawszy?

**ANZ:** Nasz zbiór stanowi podstawowy przegląd typów pojazdów konnych używanych w polskich dworach na co dzień i na specjalne okazje, czy też sportowe. Każdy cenię za jego indywidualne walory, ale najbardziej te, które w polskich zasobach są absolutnymi unikatami. Do nich należy nasz rodzinny powóz typu milord – jedyny zachowany produkt renomowanej warszawskiej firmy Jana Stopczyka, w XIX wieku jednej z największych w stolicy. Jedynym zachowanym w Polsce faetonem krajowej produkcji jest pojazd wykonany w firmie Jana Korby w Zamościu dla majątku Kamienna w Powiecie Buskim. W remoncie pozostaje jeszcze ośmioresorowa kalesza firmy John Hutton & Sons, Dublin, jednego z dostawców dworu angielskiego. To prawdziwe cymelium kolekcjonerskie. Natomiast moim osobistym pojazdem sportowym jest faeton znakomitej firmy szwajcarskiej Geissberger, Zürich z początku XX wieku, który nabyłem i wyremontowałem dla możliwości użycia go w konkursach tradycyjnego powożenia czy też tzw. *pleasure driving*.



Dyplom Europa Nostra wisi na ścianie w Tułowicach, fot.  
Marcin Sokołowski



Kaplica w dworze w Tułowicach, fot. Marcin Sokołowski

**JSG:** Dwór w Tułowicach restaurowany przez Państwa z miłością i poświęceniem przez wiele lat, doczekał się prestiżowej nagrody Europa Nostra. Proszę o tym opowiedzieć.

**ANZ:** W 1999 roku uczestniczyłem w konferencji organizacji Europa Nostra w Glasgow, gdzie zostałem przedstawiony księciu Henrykowi, małżonkowi królowej Danii – ówczesnemu Prezydentowi EN, oczywiście jako właściciel odbudowanego obiektu zabytkowego z Polski. Książę Henryk był świeżo po lekturze artykułu o Tułowicach w anglojęzycznej edycji magazynu „Dom i Wnętrze” i zasugerował, bym zgłosił obiekt do

konkursu Europa Nostra na najlepiej odrestaurowany obiekt historyczny. Obecny przy tym prof. Jacek Purchla z Krakowa (aktualnie przewodniczący sesji UNESCO) uznał, że jestem tym samym zobligowany do zgłoszenia Tułowic do konkursu, więc musiałem stosowne *dossier* przygotować i wysłać. Z pośród 120 zgłoszonych obiektów z 30 państw europejskich Jury konkursu nagrodziło medalami osiem – wśród nich dwie królewskie rezydencje, Zamek Windsor i Pałac Christiana VII w Kopenhadze, dwa obiekty z listy UNESCO i... skromny polski dwór w Tułowicach. Był to piąty medal przyznany polskiemu zabytkowi, ale pierwszy obiektowi w rękach prywatnych.

**JSG:** Rozumiem, że obiekt wzbudza zainteresowanie. Przecież historia i tradycja wyczytana z książek, to nie to samo, co możliwość w XXI wieku przeniesienia się do innej epoki.

**ANZ:** Zainteresowanie dworem w Tułowicach jest niemałe. Mamy w naszej księdze gości wpisy z nieomal całego świata, nawet w tak egzotycznym języku, jak maoryjski. Zainteresowane są szkoły, organizacje społeczne, konserwatorzy, ogrodnicy i historycy sztuki, badacze dziejów i filmowcy.

W Tułowicach były realizowane plany filmowe i telewizyjne. Prawie żadna publikacja poświęcona dziejom polskich dworów nie pomija Tułowic.



Gabinet w dworze w Tułowicach, fot. Marcin Sokołowski



Salon w dworze w Tułowicach, fot. Marcin Sokołowski

**JSG:** Dwór to serce polskości, polskiej tradycji. Dla Państwa to też prawdziwy dom rodzinny. Czy trudno jest we współczesnym świecie stworzyć enklawę polskiej historii i kultury i żyć według dawnych wzorców?

**ANZ:** Nasze życie w Tułowicach nie jest bynajmniej archaiczne w formie. Korzystamy z wielu udogodnień współczesnej techniki, ale konsumpcyjny styl dzisiejszej egzystencji nie bardzo godzi się

z klimatem tradycyjnego polskiego domu. Staramy się w sposób naturalny wpisać się w tło, które własną przecież pracą stworzyliśmy.

**JSG:** Czy ten dom jak z marzeń, otoczony parkiem, zmieniający swój koloryt zgodnie z porami roku, z zapachem jesiennych grzybów, zapasami na zimę, bogatą biblioteką, fortepianem w salonie, pamiątkami rodzinnymi, starymi fotografiami, iskrzącym ogniem w kominku, z psami biegającymi wokół domostwa, jest miejscem zjazdów rodzinnych, spotkań, rozmów, czy wokół stołu gromadzą się bliscy? Czy tak sobie Państwo wyobrażali swoje życie, podejmując tak ogromne wyzwanie?

**ANZ:** Bez życia rodzinnego ten dom, nawet w najlepszej formie, byłby tworem martwym. Ważna jest też szansa na kontynuację, którą mogą zapewnić synowie, może nawet wnuki. Wtedy dopiero nabiera sensu cały nasz wysiłek, który nigdy nie był oparty na rachunku ekonomicznym – był i jest realizacją idei o szerszym znaczeniu, niż tylko dom rodzinny. Dlatego pozostaje nadal sporym wyzwaniem dla kolejnych pokoleń. Ale póki co rodzina gromadzi się często i myślę, że ceni sobie to miejsce. Spotykamy się również w gronie przyjaciół, organizujemy koncerty, czasami wernisaże. Staramy się dzielić tym, co osiągnęliśmy.

**JSG:** Jak wyglądają Święta Bożego Narodzenia w Tułowicach?

**ANZ:** Święta są jak najbardziej tradycyjne i bardzo rodzinne. Choinka do sufitu bogato ubrana, opłatek, biały obrus i pod nim sianko oraz tradycyjne, świąteczne potrawy. Oczywiście też kolędy. Przy stole wigilijnym w Tułowicach gromadzą się już cztery pokolenia.



Dwór w Tułowicach zimą, fot.arch. A. Novák-Zemplińskiego